Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie

Kilka postrzeżeń o starożytnem myśliwstwie

PRZEZ

Lucyana Siemieńskiego.

(Z dzieła: Przewodnik myśliwca. Poznań, 1848.)

Myśliwstwo, nim stało się rozrywką, wpierw było potrzebą. Człowiek musiał myśleć o odziewku, o pożywieniu, o bezpieczeństwie, i polował na zwierza, który go karmił, chronił od zimna, lub w niebezpieczeństwo podawał jego życie. Przemysł wyrósł z potrzeby, nie każdy zwierz dał się dosięgnąć oszczepem lub maczugą, wynaleziono więc strzały, tę broń znaną na całym świecie, a w końcu broń ognistą, która coraz doskonalona, zmieniła zupełnie tryb dawnego myśliwstwa. Były jeszcze inne sposoby łowienia zwierza lub dostawania go, na ten cel układano psy i ptaki drapieżne, zastawiano sieci, żelaza, lepy i tym podobne fortele. Wszystko to nosiło lice swojego czasu, lecz ze zmianami stosunków społecznych i z postępem wynalazków przeszło w dziedzinę historyi.

W naszej Polsce, szerokimi borami zarosłej, gnieździł się zwierz wszelki, miałeś żubry, łosie, jelenie, niedźwiedzie, dziki, rysie, sobole i inną drobniejszą zwierzynę polną i lotną. Przed utworzeniem się państwa zapewne naczelnicy ziem polowali wszędzie, prosty człek polował bliżej swojej zagrody. Zwalczenie dzikiego zwierza czyniło bohaterem śmiałego myśliwca i niejako mężem narodu. Krakusa unieśmiertelnia zwycięstwo nad smokiem. W jednej pieśni Rękopisma królodworskiego chełpi się rycerz, noszący na tarczy turzą głowę:

Dziad mój tura zgniótł pod nogi,
Ojciec wygnał Niemce wrogi...

Widać, że tryumf ten wyrównywał tryumfowi nad nieprzyjacielem.

Wszędzie tak było, gdzie się nowe tworzyło społeczeństwo. Grecya myśliwców swoich zaliczyła w półbogi, w nowożytnych czasach zostawali tylko królami, jak ów Pepin, który cięciem miecza lwa zgładziwszy, dał początek dynastyi Karolowingów.

Zdaje się, że od Chrobrego czasów sam tylko panujący miał wyłączne prawo łowów w całym kraju. Gallus przytacza, że w rzędzie dostojników dworu Bolesława był łowczy *(venator)*, a po powiatach znajdowali się podrzędni łowczowie i kierujący myśliwstwem *venatores aucupes,* co dowodzi, iż ten rodzaj rozrywki musiał być na pewnym stopniu porządku i wydoskonalenia. Monarcha tedy, jako wyłączny właściciel łowów, udzielał przywileje panom świeckim i duchownym, stanowił podatki na utrzymanie ptaków i psiarni, a oraz obostrzał surowszemi lub łagodniejszemi karami wszelkie nadużycia.

Za Mieczysława starego ściśle dopełniano prawa zwanego Leśne. Nawet szlachta na dobrach swoich nie mogła polować. Kłusownik, zabijający ukradkiem niedźwiedzia lub inną zwie-

rzynę, ciągniony był do sądu i skazywany na winę siedmnadziesta (70 grzywien), piętnadziesta, secgrywen (Narusz. Hist. pol. T. III.). Z wdzierającym się feudalizmem do Polski coraz więcej krzewiły się prawa, jakie od niepamiętnych czasów miały moc swoją u Franków i Germanów. W Mazowszu pod imieniem psiarskie była powinność nałożona na poddanych karmienia myśliwych, psów i ptaków książęcych, powszechniej podatek ten zwano Naraz. Za straconego sokoła płaciła cała gmina. Później zaś, gdy panowie świeccy i duchowni wyrobili sobie przywileje na łowy*), a z rozszerzeniem się wolności szlacheckich, gdy każdy właściciel mógł używać tej przyjemności na swoim gruncie, widzimy, że pod srogiemi karami zabraniano chłopom nietylko polować, ale nawet mieć rusznicę w pobliżu królewskich borów. Prawa naznaczały karę śmierci na kłusownika, ale wysoka cywilizacya chrześciańska nie dopuszczała wykonania wyroku, czego dowodem są słowa Lutomirskiego (r. 1554), podskarbiego koronnego, który tak się wyraża: „Nie chce król jegomość, aby wtenczas, kiedy odkupywać można karę śmierci za człowieka zabójstwo, aby wilk lub jeleń większą miał wartość i większą za sobą pociągał surowość.“ Jak w tym przypadku tak w innych, wysoki duch narodowy łagodził okrucieństwo praw zachodnich, i nie wiem, czy u nas zdarzyło się kiedy, aby szlachcic postąpił z drugim szlachcicem jak ów de Coucy, który kazał obwiesić dwóch szlachty za to, że polowali na jego gruntach. Wprawdzie działo się to w 13. wieku, lecz nawet i później, bo za Karola VIII. mniejsza była wina zabić człowieka niż cudzego jelenia lub dzika. W bliższych czasach we Francyi nietyle szafowano karą śmierci, za to ćwiczono rózgami i nakładano pieniężne winy. Wszystko to pokazuje, jak ta barbarzyńska cywilizacya przekradając się do nas, brudziła tylko karty praw, lecz nie wyciskała swego piętna na obyczajach.

Za Władysława Jagiełły system feudalny zatarł się prawie pod przewagą zwyczaju miejscowego, szlachta używała rozrywki łowieckiej bezwarunkowo i stąd musiał powstać nieład, który na zjeździe w Krakowie 1420 r. starano się powściągnąć ustawą o łowach, a w r. 1423 potwierdzić w Warcie, ażeby nie szczwać zająców na cudzem polu od św. Wojciecha aż do zbioru zbóż pod karą trzech grzywien (Vol. leg. I. fol. 81.). Podobnież nałożono na tego, coby cudze psy chwytał lub zabierał żelaza, trzy grzywny kary i trzy za zabranie zwierza.

Statut litewski obszerniej te stosunki opisał i modyfikował kary z postępem wieków. I tak w statucie ziemskim Zygmunta I. powiedziane jest, iż ktoby w cudzej puszczy polował, zapłaci 12 rubligroszy winy, a za zwierza podług ustanowionej ceny. Jeżeliby zaś pojmano strzelca nad zwierzem ubitym w puszczy, tedy ma wiedzion być do urzędu, a z urzędu ma być na śmierć skazan jako insi złodzieje. Surową tę karę zapewne bezprzykładną, trzeci statut zmienił na więzienie lubo i w trzecim statucie była, że tak powiem, poboczna droga którą winowajca mógł się ratować, a to opierając się na tym paragrafie: „A ktoby też w swojej ziemi zwierz połowił, a tenby zwierz biegł do cudzej ziemie, tedy ten za swoim zwierzem ma gonić i przez cudzą ziemię i może swój zwierz ubić w cudzej ziemi. A jeśliby ktoś zastrzelił zwierza w swojej ziemi, a ten zwierz wszedłby w cudzą ziemię, tedy za swoim zastrzelonym zwierzem ma iść w cudzą ziemię.“ — Pytanie, jak tu dochodzić własności zwierza, i cóż łatwiejszego, jak będąc ujętym w cudzym lesie z zabitą zwierzyną, dowieść, jako ów niedźwiedź, łoś lub jeleń pochodził z mojej kniei? Karę śmierci stanowiła tradycya średniowieczna. Ale chrześciański umysł prawodawcy zostawiał szerokie pole do uniewinnienia się. Później widzimy, że kiedy karę śmierci zniesiono, i ów artykuł się zmienił, bo już ranionego zwierza nie wolno było w cudzym lesie dochodzić.

Równym złagodzeniom podległy i inne winy pieniężne. W pierwszym statucie za legawego psa naznaczono 12 rubligroszy czyli podług redukcyi Czackiego 526 złp. 20 gr., w trzecim zaś tylko 2 kopy groszy, t. j. 42 złp. 25 gr.

Postrzegamy jeszcze, że przepisy statutowe starały się zapobiegać jedynie pogwałceniu cudzej własności, stanowiąc kary na tych, co wybierali z gniazd młode sokolęta, co podorywali pola leżące w pobliżu bobrowych gonów, lub co karczowali sianożęcie w odległości rzucenia kijem od tego żeremienia, nigdzie jednak nie masz wzmianki, jak zachować zwierzynę od ogólnego wytępienia. Ziemianin obwarował prawem swoją własność, ale sam nie był obowiązany przestrzegać naturalnego porządku przeciw wytępianiu zwierzyny, i jeżeli nie polował na cudzych polach, ma się rozumieć chłopskich, od św. Wojciecha do zbioru zbóż, tedy na swoich wolno mu było używać tej rozrywki. Jak zaś powszechny był u nas obyczaj polowania zawsze i wszędzie, dowodzą konstytucye sejmu extraordynaryjnego warszawskiego od r. 1773 do 1775, i lubo czasy są tak bliskie, jednakowoż ani słowa jeszcze nie wyrzeczono o powszechnem prawie obowiązującem tak właścicieli dóbr jak i niewłaścicieli. Wprawdzie zabraniają pomienione konstytucye polować w porze nieprzyzwoitej, naznaczając otwarcie polowania w tydzień po św. Bartłomieju, a zamknięcie onegoż 1go Marca; lecz kogoż ten warunek dosięga? oto mieszczan i innych niemających dóbr ziemskich, gdyż wyraźnie uchwała dokłada: „to zaś prawo bynajmniej dziedzicom *praejudicare* nie ma, którym wolność polowania w każdym czasie zostawuje się“. Co więcej, dla zabawy królowi zastrzeżono, aby trzy mile około Warszawy nikt nie polował, ale zaraz dodano wyjątek: prócz dziedziców i posesorów i myśliwstwo ich, pozwolenie polowania mających.

Wszystkie te ustawy wyraźnie pokazują, że nikt nie myślał o ogólnem zachowaniu zwierzyny od zupełnego jej wytępienia, każdy właściciel mógł polować o wszelkiej porze, jak równie wyniszczać swoje bory. Ówczesnym ludziom zdawało się, że się ani zwierzyny ani borów nigdy nie przebierze, i tępiono jedno i drugie, aż przyszło do tego, że przed stu laty Hieronim Radziwiłł kazał sadzić drzewa i puszczać niedźdwiedzie sprowadzone w klatkach, cóż dopiero dziś, gdy gruby zwierz stał się rzadkością, a ogromne puszcze poznikały z oblicza kraju. Ten sam tryb staroświecki utrzymuje się za dni naszych w wielu prowincyach Polski, w jednem Księstwie Poznańskiem uregulowano ściśle porządek leśny. Rada obywatelska w każdym powiecie zbiera się i ustanawia, stosownie do zmiany czasu, zamknięcie lub otwarcie polowania, rząd obłożył znacznemi winami polowanie w porze niezwykłej lub zabijania sarn i łani, niemniej przez systematyczne wytępianie lisów i wilków, zapleniły się pola niezmierną obfitością zwierzyny. Są to wyraźne owoce dobrego gospodarstwa, każdy też, kto w innych stronach Polski polował, postrzega niezmierną różnicę. Wprawdzie litewskie, wołyńskie lub podgórskie łowy odbywają się na stopę większą, z wielkim zachodem i przyborem, noszącym cechę staropolską, ale za to trudniej

*) W roku 1231 kapituła płocka otrzymała wolność polowania na sarny, lisy, zające, wiewiórki, lecz nie z sieciami. Biskupowi poznańskiemu i arcybiskupowi gnieznieńskiemu nadano myśliwstwo 1232 r.

o zdobycz, i rozkosz osobista o wiele mniejsza niż w Wielkopolsce, gdzie z dobrą dubeltówką na plecach i z grackim psem możesz choćby codziennie powracać obciążony łupem swojej zręczności.

Łowiectwo u nas jak wszędzie miało swoje epoki. Zmieniało ono fizyonomię stosownie do nowych wynalazków i do urządzeń społeczeńskich. Używanie broni palnej, a mianowicie śrótu, w 17. wieku zadało cios polowaniu z sokołem, które mówiąc Bogiem a prawdą było dziwnie zajmujące, a prawdziwie pańskie Komuż nie idzie ślinka, gdy czyta tych kilka słów Reja, tak serdecznie malujących rozkoszne polowańko z ptakiem, ile to kokieteryi myśliwskiej w tych słowach: „Sokół i każdy ptak, gdy go nadobnie ugłaszczesz, foremną jaką czapeczkę nań włożysz, już za tobą lata od stawku do stawku, już krąży, szuka, czemby ci się przysłużył! Pojedziesz zasię sobie z krogulaszkiem do żniwa, ano nadobnie żną, dzieweczki sobie spiewają, drudzy pokrzykiwają, snopki w kopę znowu układają, ano im i milej i sporzej robić, kiedy pana widzą. A wszakoż nie owego, co się z nimi po polu z maczugą goni, abo biczem po grzbiecie kołacze. Tamże sobie przepióreczkę ugonić możesz..."

Mówiąc o starożytnych łowach, uważam, że tylko jedno polowanie z ptakiem miało tam cechę jakiegoś wysokiego artystostwa, inne gatunki łowów stanowiły obraz bitwy nierówwnej, a raczej rzezi. Stąd też nie ma się czemu dziwić, gdy wszędzie, tak na zachodzie jak u nas, sokół był w wielkiem poszanowaniu, oznaką klejnotu szlacheckiego, kto go nosił na ręku, podobnie jak szablę u boku, musiał być krwi szlacheckiej. W kapitularzach Karola W. wyraźnie stoi, aby żaden szlachcic nie ważył się kroku ruszyć bez broni, psów i sokoła, ten zwyczaj i do nas przeszedł i Górnicki powiada, że niejeden bez ubrania, włosy rozpuściwszy, chodził z krogulcem na ręku. Dziwią mnie Bielski i inni kronikarze, mówiący z taką zgrozą o biskupie Pawle z Przemankowa, że psy i sokoły obsiadywały ołtarz, gdy mszę odprawiał, a przecież była to tylko pożyczona moda z zachodu, gdzie nikt się nie gorszył z tego obyczaju, książęta, prałaci, damy, wszystko to słuchało nabożeństwa z sokołem na ramieniu.

Myśliwstwo z ptakiem przyszło do nas z Azyi, obyczaje przyszły z zachodu. Ten rodzaj łowów odbywał się tam na olbrzymią stopę. Tamerlan miał podobnoś 20.000 sokolników, a Bajazet niezadowolony ze swego sokoła, omal że nie kazał ściąć 2000 łowczych. Sokoły Taurusu słynęły jak świat szeroki, ztamtąd sprowadzano najlepsze. U nas w wysokiej cenie były białozory i rarogi, z błękitnym dzióbem i nogami, nadzwyczaj wytrwałe, bo kiedy norwegski sokół służył dwa lata, białozór litewski wytrzymywał lat 12. To też królowie nasi innym monarchom w darze je posyłali, Sobieski, co najdziwniejsze, posłał cztery białozory szachowi perskiemu. Rzecz pewna, że ze śmiercią tego króla skończyły się u nas staroświeckie łowy, on może ostatni używał jeszcze na polowaniu kuszy i strzał. Z wstąpieniem Sasów, zapalonych myśliwców, łowy przybrały charakter bardziej nowożytny, z wydoskonaleniem rusznicy poszło w zaniedbanie ćwiczenie się z łuku i układanie sokołów. Świeższymi czasy Montrezor, łowczy Branickiego, wprawił kilka orłów do bicia dropi, i takie łowy gromadnym gościom hetmana wyprawiwszy, wieś nad Dniestrem w podarku otrzymał. Jedyna skała Ładawy dostarczała mu białych orłów.

Tryb starożytnych łowów wymagał zgoła niezmiernych przyborów, wielkiej liczby ludzi znających się na tem rzemiośle, stąd tylko możniejsi panowie i król mógł ich w całem znaczeniu używać. Mierne myśliwstwo potrzebowało, jak podaje książka pod tytułem: „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze 8 koni, myśliwców 3, szczwaczy 3, na wspór 2, w knieję za psy 2, chłopi w domu gotować psom, opatrywać konie. chartów smyczy 4, ogarów sfór 15." A cóż dopiero powiedzieć o większych? Stanisław Lubomirski chował 30 łowczych rarożników i sokolników.

Król Jan z 500 janczarami chodził na łowy, a lada pan trzymał łowczego, sokolnika, bażantnika, dojeżdżaczów, osoczników, szczwaczów, kotłowych i t. p. Wielką część tych urzędników zastępowali chłopi ze wsi, wyuczeni przez łowczego. Tak bywało po mniejszych dworach, które rywalizować chciały z jakim magnatem, ale w ogóle przepych i zbytek taki bywał, że już Górnicki daje do poznania, że na co stać wielkim panom, na to wioskowej szlachcie kasać nie przystało, i że niejednego takiego panka, jak Anteona, własne psy zjadły. Zabawa ta, wymagająca dawniej wielkich kosztów, posunięta do niepomiarkowania, oburzała ludzi myślących, dbających o dobro publiczne, bo nieraz dawały się słyszeć narzekania: „Nie masz na żołnierza, a jest na kuropatwy, łosie i jelenie." W ostatnich czasach Rzeczypospolitej łowy wyrodziły się w rodzaj teatralnego przedstawienia, nie była to walka z nieprzyjacielem silnym lub zmyślnym, połączona z fortuną myśliwską, ale po prostu rzeź w menażeryi spędzonych zwierząt. Na piaskach mazowieckich około Warszawy odbywały się najczęściej podobne krotochwile. W roku 1724 w Marymoncie 4000 wieśniaków szło z obławą, strojni strzelce, 700 paniczów i panów wyelegantowanych jak na pokoje, damy w amazonkach siedzące po altanach, wszystko to bez znoju, bez myśliwczego instynktu mordowało wypadające na nich jelenie, sarny, dziki i żubry, sprowadzone z puszcz Litwy. Podobnież Hieronim Radziwiłł jeszcze dalej posunął fantazyę pańską, bo nietylko zwierzynę sprowadzał z litewskich borów, ale i na piaskach między Szulcem a Ujazdowem cały las zasadził. Tak więc tedy skonała tradycya starożytnych łowów. Przerzedziły się puszcze, zwierz wyginął, panowie zubożeli, lub namiętność myśliwską inną zastąpili, mniej może szlachetną, mniej rycerską. Z tą zmianą i ów język łowiecki, cechujący ludzi swojego rzemiosła, poszedł w zapomnienie, że dziś zaledwo plącze się kilkanaście wyrazów.

Dla dopełnienia tego obrazu, którego nie myślałem wszakże zrobić zupełnym, tylko wyjaśnić niektóre szczegóły dotąd pomijane, muszę cośkolwiek napomknąć o broni palnej. Przyznać należy, że nielada potrzeba było zręczności do ubicia z łuku ptaka w lot, lub zwierza w biegu. Jednakowoż starożytni podali nam imiona wielu strzelców, obdarzonych tą zręcznością, dość wspomnieć Filokteta. Dzisiaj Czerkiesi, Kirgizy z wielką trafnością używają strzał. Sam znałem kapitana od Kozaków, który w lot wrony strzelał z łuku; bądź co bądź, zawsze łatwiej kierować kulą, niż strzałą. Owidyusz powiada, że dla pewności zatruwano strzały, a Pliniusz dodaje, że zwierzyna stawała się delikatniejszą, jeśliś wykroił nożem miejsce zatrute Z wynalezieniem ręcznej strzelby zaczęto ją używać i w wojnie i na polowaniu. Takie arkabuzy zwykle opierano na widełkach i zapalano hubką, jak to właśnie wspominają artykuły bractwa kurkowego w Krakowie. Trudno było strzelać z nich do pobieżnej i lotnej zwierzyny. Dopiero pod koniec 16. stólecia znano rusznice z krzemieniem. Jeszcze na drzeworytach Josta Ammana, wyobrażających ówczesne łowy (1580—90), nie widać jak tylko kusze i arkabuzy z lontami. U nas zapewne później rusznica z krzemieniem używaną była w myśliwstwie, mógłbym nieledwie twierdzić, że dopiero z Sasami, lubownikami strzelania ze sztućców, jak o tem świadczy Kitowicz,

zaczęto z palną bronią chodzić na łowy. Dubeltówki pokazały się we Francyi około 1750 r. Rzecz bardzo prosta, że skoro zaczęto w lot strzelać, układanie ptaków stało się niepotrzebnem i kosztowniejszem niż dobra strzelba. Byłaby rzecz ciekawa, gdyby ktoś chciał nam podać opisy i wizerunki różnoczesnej broni, jaka się jeszcze gdzieniegdzie po prywatnych arsenałach zawieruszyła. Jak to wyglądały owe Rejewskie arkabuzy, owe półhaki, berdebuchy, gułdynki? Słowniki nasze, Gołębiowskiego spisy, zawierają mnóstwo wyrazów nieobjaśnionych, lub objaśnionych fałszywie. Wszystko to czeka sumiennego badacza, któryby pozbierał tego rodzaju pamiątki i przekazał je rylcem potomności.

Tych kilka uwag, schwytanych na historycznem polu, nie mogę inaczej zakończyć, jak tem świadectwem, że łowy jak świat światem należały do najpożyteczniejszych i najszlachetniejszych zabaw. Kiedy wojna była najwyższem powołaniem męża, cóż dziwnego, że w czasie pokoju bawił się jej kłamanym obrazem? Za czasów Cezara w Gallii nakładano karę na otyłych, otyłość pochodziła z braku ruchu, więc jaki taki, co miał skłonność do tycia, musiał rad nierad wycierać pola i knieje. Pojmowali to przodkowie nasi i szyderstwem, pogardą okrywali rozpieszczonych paniczów, unikających trudu lub niebezpieczeństw walki z dzikim zwierzem. Już Kochanowski przykrym wyrzutem dotknął ich, mówiąc:

Nie umie syn szlachecki na koń wsięść, i w łowy
Na dziki zwierz z oszczepem jechać nie gotowy.

A cóżby dopiero powiedzieć o współczesnem pokoleniu? jaką miarą go mierzyć? Nowe wynalazki, daleko posunięty *comfort*, rzadkość grubego zwierza staje za wymówkę, ale nie usprawiedliwia tych, co zabawę myśliwską ważą sobie lekce; dla nich wypisuję to, co Blondus w łowieckiej swej księdze, dedykując ją Franciszkowi I., wracającemu z niewoli madryckiej, wyrzekł: „Łowy są pierwszą szkołą dobrego żołnierza, a z dobrym żołnierzem snadniej wolność swą zabezpieczyć...“

SPOTKANIE

PRZEZ

Kaźmirza hr. Wodzickiego.

(Dokończenie).

W głębokim, miękkim śniegu, w nader prozaicznym lesie, po nad dworcem kolei z dymem i świstem lokomotyw, obległo duże stado dzików. Zwołałem psiarczyków, wziąłem tropowca za łańcuch i brnę za tropami, a dziki ryły jednem korytem szerokiem, niedozwalającem policzyć ilości sztuk. Mój pies poczyna rwać, a ja nic nie widzę pomimo dosyć jasnego lasu, więc puszczam go i wnet stanowi głębokim, chrypliwym głosem, co zawsze oznaczało, że jest w strachu i ma się na ostrożności. Na ten głos pobiegły psy, a było ich siedm, i wbrew zwyczajowi rozdzieliły się, rozpędziwszy dziki na dwie części. Z razu nie mogłem się zoryentować, co to znaczy, stałem nie wiedząc, za którymi psami podążyć. W tejże chwili widzę w rzadkiej buczynie wolno kroczącą samurę z dwoma warchlakami, mierzę do niej spokojnie, bez wzruszenia, puszczam kulę, którą duch leśny chwyta, puszczam drugą, ale samura zdrowa kłusuje dalej. Nie złorzeczę i nie narzekam, są słabe chwile w życiu, więc chybić można, pomimo że mi ta samura szła pomału w odległości 40 kroków. Zawstydzony lecz nie rozdrażniony nabijam spokojnie sztuciec, ścigając wzrokiem dziki. Już kule przybite, stempel schowany, odwodzę kurki, wtem na linii strzelców padają gęste strzały. Ktoby temu uwierzył, że na ten odgłos właził samura do liściastego bukowego gąszczu, podnosi nogi, kładzie się i waruje jak pies, a po chwilce warchlaki układają się przy niej. O fortuno matko, myślę, los wielki wygrałem! Sięgam do kamizelki po kapsle, ręka skostniała żadnego uchwycić nie może, wreszcie wydobywam jeden, trzęsą mi się palce, na kominek trafić nie mogę, im więcej się niecierpliwię, tem niezgrabniejszym się staję, w końcu upuszczam kapsel w głęboki śnieg, szukam drugiego, znowu ta sama męczarnia bez skutku, a samura z progeniturą wstaje i wolnym krokiem uchodzi mi z oczów. Oto figiel zręcznie wymyślony i dokuczliwie wykonany, myślałem że pęknę ze złości.

Gniotą nas wszystkich równe potrzeby, odmienić ich ani wstrzymać nie możemy, czy w purpurze czy w sieraku, człowiek jest człowiekiem. Życzliwa, sympatyczna ręka postawiła mnie na stanowisku pachnącem zwierzyną, przedemną były obszerne łąki wikliną zarośnięte, tu i ówdzie łozy z trzcinami, pokrzywami i chmielami, opodal lasek młodych sosenek. Obejrzawszy moje stanowisko, opieram strzelbę o drzewo i oddalam się tajemniczo o kilka kroków. Widzę z mego obserwatoryum daleko naganiaczy, zaledwie zachodzących miot, więc wcale się nie spieszę; wtem wyczarowana samura staje przy mojej strzelbie, wietrzy na wszystkie strony, ale mnie zobaczyć nie może. Stała przez chwilę i poszła, ja powstałem, lecz straciłem siłę ruchu. Zdało mi się, że słyszę szyderczy śmiech Syreny i zawołałem: To istne męki Tantala! Gdybym mógł być fotografowanym w tej chwili, byłbym tę fotografię zachował na całe życie jako pamiątkę najwyższego mego udręczenia.

Rozstawiwszy myśliwych, idę na ostatnie stanowisko. Mróz piekielny, wietrzyk tnie policzki, w oczach skrzepłe łzy, a w powietrzu iskrzące atomy. Znużony i zmarznięty, w kapuzie na głowie, siadam na chwilę, aby odpocząć, bo gon jeszcze nie rozpoczęty. Bez przyczyny spuszcza mi się zasłona na prawe oko, a lewem spostrzegam stojącego przedemną starego wilka, który się wychylił ze świerkowego, zaśnieżonego gąszczu. Nawrócił z niesłychaną szybkością, a ja sobie pomyślałem: to figiel nowego wynalazku.

Zwoziłem ścierwa do jednego miotu przez całą zimę i sznyclami zatrutymi tępiłem wilki. Rano daje mi znać leśniczy, że wilk obległ w tym samym miocie. Pomyślałem sobie: musiał się należycie objeść. Zbieram myśliwych, przyjeżdżam i słyszę, że był, lecz wyszedł przez bagna do sąsiedniego lasu. Zniechęcony i zmęczony, mając naganiaczów, każę miot gonić, spodziewając się w nim lisów. Pomimo lisów i wilków, jakiś się tam kongres zebrał zajęczy, a że to już było ku wiośnie, więc do nich nie strzelano, a ja zabawiałem się mierzeniem do przemykających. Wtem na przeciwnej stronie zaszarzało coś na śniegu, odwracam głowę i widzę popiersie ogromnego wilka. W celu przekonania się, że to nie czary, obszedłem miot i widziałem trop wchodowy i wychodowy. Skąd psotnica leśna go

wyczarowała i przedemną postawiła, tego do dnia dzisiejszego pojąć nie mogę.

Mam polską, żywą naturę i nie jestem nad miarę cierpliwy, znoszę wszakże nudnego znajomego, długie przepędzam wieczory w niezabawnem towarzystwie, znoszę dokuczliwe powietrze, podpitych ludzi, słucham kłamiących, jem złe obiady, pijam kwaskowate wino bez grymasów, nawet znoszę cierpliwie brak spotkania. Polowałem przez sześć dni w rewirze obfitującym w zwierzynę, była tam wielka ilość sarn, kilka stad dzików i nie mało odyńców. W tym tygodniu już się na mnie psotnica uwzięła i nad miarę dokuczała. Wszyscy strzelali, a na mnie wybiegały kozy, ani jednego strzału nie zrobiłem, a najbardziej drażniło mnie to, że mój młody strzelec gdzie stanął, tam strzelał. Stawiam go w pewną pamiętną mi sobotę na stanowisku, na którem chybia odyńca ogromnego i ucieka przed nim, na drugiem zabija rogacza, nad wieczorem kaleczy kulą samurę. Śmiech satyrów zabrzmiał mi w uszach, a w sercu uczułem rozlany kwas. W tym roku była psotnica dla mnie nieubłaganą.

W lesie kijastym, niepodszytym, widzę żółtego lisa, istna pomarańcza na czterech nogach, chodzi zamyślony, wlecze za sobą kitę, szpiczaste uszka nastawia, za każdym strzałem na linii podskakuje, staje, słucha i ku mnie się zbliża. Już przysunął się do mnie na strzał, więc mierzę, ale w chwili pociągnięcia cyngla lis znika. Stoję przez chwilę nieruchomy, potem zaglądam, patrzę i nic nie widzę, drzewa cienkie, pniaków nie ma, gdzież więc się podział? Jakieś czary mnie dręczą aż do nadejścia nagonki, poczem idę w miejsce, gdzie znikł, i spostrzegam jamę, oddaloną od mego stanowiska o trzydzieści kroków.

Dwa razy w życiu dokuczyła mi psotnica lisami. Stałem nad jamami wywodnemi, ledwie się gon rozpoczął, ostrożnie liszka dąży do mieszkania swego, a było to w jesieni na czarnem polu. Strzelam i zabijam ją, szybko nabijam i w chwili gdy kapsel chce wsadzić na kominek, ogromny lisiura posuwa się tropem żony ku mnie, napotkawszy trupa na swej drodze, staje i z zdumieniem przypatruje się nieboszczce przez długą chwilę. Czyby kto uwierzył, że przez cały ten czas psotnica nie pozwoliła mi założyć kapsel i lisiura uszedł.

Drugi taki sam wypadek. Zabijam jednego lisa i gdy stempel mam w lufie, nadchodzi drugi. Mam lufę nabitą, lecz coś w niej trzyma mój stempel i nie mogę go wyrzucić, lis naturalnie uszedł bez strzału.

Z wydrami dokuczyła mi również psotnica. Z czółna widzę wydrę pływającą, grzejącą się do słońca i przewracającą się w wodzie jak syrena. Na mnie nie zwraca uwagi, więc mierzę, a w chwili strzału ona nurkuje. Innym razem wjeżdżając ze stawu w rzekę, widzę wydrę na kępinie, zwiniętą w kłębek, oczywiście spiącą, mierzę w głowę i gdy już mam strzelić, słyszę chlupnięcie wydry w wodę.

Prześladująca mnie psotnica, nigdy nieznużona w dokuczaniu, nie mając już sposobów dotkliwszych, potrafi nawet z zającami i ptactwem, jak to mówią, dojechać do żywego, wywołać zniechęcenie, rozdrażnienie i zły humor.

Mogę z młodym Hiszpanem wykrzyknąć: i ja byłem w raju. Nie mało lat z uroczą silwanką przeżyłem, psuty, pieszczony, rozkoszami upojony; wzbudzała ona zawsze we mnie czułą wdzięczność za świadczone usługi. Zawsze przy mnie w lesie stała, obdarzała mnie uśmiechem, zwracała moją uwagę na zwierzynę, napędzała i kierowała ją ku mnie, zręcznie przytrzymując w biegu, lub wyprowadzała na drogi, linie i jasne miejsca. Wielu ze mną polowało dorodnych młodzieńców, lecz nie byłem zazdrośnym, przekonawszy się o jej dla mnie wierności. Przypominam sobie lata, w których na polowaniu codzień strzelałem do dzików. Częstokroć odyniec obchodził całą linię strzelców i wytknął na mnie, ledwie gon się rozpoczął, ledwie pies zaszczekał, a już pędziły na mnie dziki. Była ona wtedy dobroczynną pieszczotką, nieopuszczającą mnie nigdy, a przemyślną i zręczną do podziwienia. Stoją mi w pamięci pięć rogaczów, idących razem bez żadnej kozy na mnie, a w innym dniu trzy, wszystkie ozdobione omszonymi rogami, noszące na głowie istne krzaki olbrzymich kolców. Raz mi na stanowisko przyprowadziła ogromnego wilka, nie patrzącego nawet na świat Boży, nieświadomego niebezpieczeństwa; ledwie zdążyłem nabić, prowadzi tak dużego odyńca, że na saniach głowa i zadnie nogi wlokły się po ziemi. Stałem nad parowem zakryty drzewem, idzie na mnie ośm dzików, zabijam jednego, po strzale zmięszały się i stoją, walę drugiego na ziemię, dziki pędzą w tył, ledwie zdołałem nabić, już na mnie sadzą i zabiłem trzeciego. To znowu przyprowadza mi samurę z warchlakami, kładę ją dwoma strzałami, nabijam, a pieszczotka moja zatrzymała przy samurze małe, do których strzelam jak do prostych świń domowych. Podkradłem się raz z parowu tak cicho pod dziki, że je widziałem leżące w barłogu, oczywiście silwanka usuwała z pod nóg moich suche gałązki i narkotykiem upoiła dziki. Prowadzi mnie na miękkiej ponowie nad głęboką debrę, w której dziki leżały, wypłasza je i po przeciwległej ścianie prowadzi, a ja wygodnie strzelam jak w lot. — Gęstym liściastym miotem idą na mnie wolno dwa wycinki, oczywiście bracia, zabijam jednego, drugi staje pod kłodą i po chwili wychyla się na mnie, popełniając tem istotne samobójstwo. — Ileż to razy przyprowadzała mi po dwa i trzy rogacze na stanowisko; raz wyszły na mnie trzy lisy jedną ścieżką. A co z zającami dokazywała, jak figlarnie je napędzała, abym miał czas nabić strzelbę. O zaprawdę byłem wówczas w raju!

Wprawdzie nie moje, lecz mego znajomego spotkanie, jako wyjątkowe i zagadkowe, muszę podać do wiadomości powszechnej. Idą przedemną cztery dziki na sztych memu sąsiadowi, oczywiście nie strzelam i jestem świadkiem zdarzenia dziwnego. Dziki wbiegły między trzy olbrzymie kłody i nie mogły się z nich wydobyć, a nie cofnęły się drogą, którą weszły. Sąsiad zabija dwa z nich, nabija jednę lufę, strzela i powala trzeciego, a czwarty, któżby temu uwierzył, wskakuje to na jednę to na drugą kłodę, usiłując je przesadzić, naturalnie pada po chwili i oto w klatce tej widzę cztery martwe dziki.

Dlaczego mnie silwanka porzuciła? Byłem zawsze wdzięcznym, nie grzeszyłem zbytnią pożądliwością, z pełnem uczuciem uznawałem to barwienie mego życia, nigdy nie szemrałem, nie narzekałem, przeciwnie ze stoiczną rezygnacyą znosiłem niekiedy zadane mi ciosy w przystępie złego humoru lub chimerycznego rozdrażnienia, bo i to bywało, szukałem jej po lesie, goniłem uczuciem i prośbą, wiedziałem, kiedy była przy mnie, przeczuwałem, kiedy mnie rozkoszą napawać miała. Grzebię w mem myśliwskiem sumieniu i żadnej winy lub niewdzięczności odkryć nie mogę, fakta zaprzeczyć się nie dadzą, a faktem jest, że bez przyczyny mnie porzuciła i co mnie najsrożej dotyka, że pieści znajomego mego koło mnie. Sprzykrzyłem się jej, to niechby sobie wybrała nieznajomego, wtedy nie doznawałbym tortur zazdrości i nie musiałbym patrzyć na ten świeży związek. Chodziłem z miotu w miot smętny, tęskny i zniechęcony po strzale sąsiada. Czarne pola, miękka ponowa, gruby czy drobny zwierz, ona wszystko napędzała

oblubieńcowi, a dla mnie minęła łowiecka pora bez spotkania. Przeszły ciepłe miesiące, drzewa otrzęsły się z liści, mgły zwilżyły lasy, temperatura spadła i rozpoczęły się łowy. Wspomnienia żałobne nie łatwo się zacierają w pamięci, na rany serca nie wynaleziono jeszcze balsamu, więc idę w las z zwątpieniem w duszy, w wyobraźni migoce silwanka, w zakątku duszy rozkoszne odzywają się pamiątki, niepokój mnie ogarnia. Staję na stanowisku, jakoś mi błogo się robi, przeczuwam bliskość jej, strzelam, zabijam, widzę zwierzynę, widocznie darzy mi się. Dlaczego mnie porzuciła, dlaczego powróciła, pozostanie dla mnie zagadką. Wyrzutów jej nie czynię, godność nakazuje zerwać związek, namiętność pożądać go i do siebie tulić. Zaiste człowiek maleje wobec tajemnic.

Fortuna kołem się toczy, a silwanki jak syreny to zalotnice, ledwie kilka upłynęło miesięcy, już znowu przy innym była. Wobec kolegów muszę być szczerym i wyznać, że jestem dziś jeszcze, jak ów mąż zdradzony kilkakrotnie, tkliwym i miłującym dla niewiernej żony, dziś jeszcze mimo tylu zdrad, doznanych męczeństw i tortur, pieszczę ją w myśli, sercem przywołuję ku sobie, pamięcią ścigam. Ona wie o tem i igra ze mną, wraca niekiedy, to się oddala, przez długie tygodnie nie powraca, zna ogrom mej tęsknoty, zna też moją słabość bez granic, a dlaczego, płocha niewiasta wie, żem bardzo stary!

Spokojne powietrze, doborowa broń, strzał celny, dogodne pole, obfitość zwierza, silwanka przy nas — to *spotkanie*, a spotkanie, to najwyższa rozkosz myśliwego!

WYPRAWA NA GŁUSZCE.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

Wobec artykułu „O spotkaniu“, nakreślonego mistrzowskiem piórem Kaźmirza hr. Wodzickiego. i ciekawego w nim spisu wyrządzanych psot rozmaitych przez leśną boginię, niewdzięczna mi praca pozostaje w udziale, gdy dla uzupełnienia tego obrazu pragnąłbym dołączyć kilka psot nowych, wyrządzonych mi tego roku podczas polowania na głuszce. Obrazów tak poetycznie nakreślonych prozą, takim ozdobionych kolorytem, nigdybym odtworzyć nie potrafił, chyba w wiązanej mowie, a to nadto mozolna praca. Dla Wodzickiego atrament jest tem, czem farby dla Matejki lub Siemiradzkiego, a więc z moim opisem kroczę za nim w pokorze, jakby giermek w kubraku za rycerzem w złocistej zbroi. A jednak co do figlów wyrządzanych nam tak często przez leśną boginię, nie we wszystkiem zgadzam się bezwzględnie z naszym Nestorem pisarzy i myśliwych. Często, bardzo często bowiem się zdarza, iż nasze własne myśliwskie winy składamy na karb tej psotnicy, która sobie w cichości powtarza przysłowie: „Aide toi, dieu t'aidera“. Ale to już leży w naturze szlachcica polskiego, że lubi swoje przewinienia na kogoś innego składać, stąd te narzekania na leśną psotnicę, na brak spotkania, na wiatr fałszywy, na niedokładność broni, na krzaki za gęste, na lawinę śniegu spadającą na lufy przed strzałem i t. d. i t. d. Ileż razy w moim długim myśliwskim zawodzie byłem ofiarą okrucieństwa tej figlarnej bogini, którą wtedy przeklinałem wszystkimi znanymi mi i nieznanymi językami, a jednak zastanowiwszy się spokojnie nad zaszłym wypadkiem, prawie zawsze przyszedłem do przekonania, że większa część winy po mojej leżała stronie. Wdzięczny zawsze leśnej bogini za każdy jej łaskawy uśmiech, za każde udzielone mi spotkanie, trzymam się zasady korzystać z niego o ile możności, licząc tylko już na własne siły, a nie wymagać od niej zbyt wiele i nie zachowywać do niej niechęci. Podczas tegorocznej mojej górskiej wyprawy na głuszce, byłbym miał może prawo w niejednym względzie mieć żal do tej wszechwładnej pani, a jednak mnie i moim towarzyszom w innym względzie taką łaską zaświeciła, że innych krzywd niepomny, wdzięczność tylko dla niej mieć muszę. Nie miałem nigdy szczęścia być na toku głuszców na Litwie i Polesiu, te polowania znam tylko z opisów i sądzę, iż muszą być o wiele łatwiejsze od polowań w górach.

Od lat kilku porę toku głuszców spędzam regularnie w górach należących do państwa Wełdzirzskiego, gdzie dzięki uprzejmości właściciela barona Poppera i staraniom jego straży leśnej używam najwyższej, jaka w życiu myśliwego nadarzyć się może, rozkoszy myśliwskiej. Głuszec, ten lotny król naszych gór, jest najponętniejszą dla mnie zwierzyną i wyznaję, że wszelka inna wobec niego maleje w oczach moich. Nie przeczę, iż do tego przyczyniają się niemało i ramy które otaczają ten obraz, przedstawiający o brzasku dnia na zaśnieżonym szczycie góry, na jodle tokującego głuszca. Życie w kulebie, przy ognisku, śród tej czarującej przyrody, którą wtedy właśnie ręka Stwórcy z zimowego letargu budzi, są to wrażenia, które niech się żadne pióro kreślić nie waży, a których nawet czuły słuchacz w duszy nie dospiewa, bo na to trzeba być widzem a nie słuchaczem. Ale niech też nie myśli żaden z myśliwych amatorów (mówię to o owych, którzy polują dla tonu, lub dla towarzystwa), że taka wyprawa i dla nich jest przystępną. Nie radzę im próbować nawet, bo trudy i mozoły. przez które przejść trzeba, będą nad ich siły. Szczyty zaśnieżone gór naszych nie są na wiosnę przystępne dla stopy niedzielnego łowca, ścieżka, która wiedzie do tego eldorado, jest stromą i śliską, jak owa ścieżka, która ma wieść do wiecznej szczęśliwości, tylko prawdziwy kapłan bogini Diany po niej kroczyć potrafi.

W towarzystwie ks. Jana Sapiehy i hr. Stanisława Tarnowskiego udałem się w ostatnich dniach Kwietnia do Ludwikówki, gdzieśmy ujrzeli góry okryte jeszcze grubą warstwą śniegu, jakby w środku zimy. Żelazna siła, wytrzymałość i zapał myśliwski moich towarzyszy były mi dostateczną poręką, że się żaden przed tą zaporą nie cofnie, i tak się też stało. Raporta bardzo pomyślne złożyła nam tamtejsza straż leśna. Rozdzieliwszy się na dwa obozy, wyprawiłem ks. Sapiehę pod przewodnictwem p. leśniczego Pauli na górę Pustoszak, na której wysłuchanych było 13 głuszców, sam zaś jako adlatus St. Tarnowskiego, który również jak i mój drugi towarzysz pierwszy raz w życiu taką przedsięwziął wyprawę, udałem się na szczyt góry Girgan, gdzie pod kierownictwem p. leśniczego Schmida, przy pomocy mego strzelca i kilku górali, brnąc w bezdennym miękkim śniegu, przedzierając się przez zaśnieżone łomy i spruchniałe kłody, wreszcie nad wieczorem dobiliśmy się do szczytu. Rozgospodarowawszy się w paradnej kulebie, posiliwszy się nieco, wyruszyliśmy na podsłuchy. Chrapanie ustawiczne ciągnących słonek, tak pożądane na wiosnę na do-

linach, tu stało się dla nas nieznośnem, przeszkadzało bowiem w podsłuchiwaniu i mimowoli uwagę rozrywało. Rozpoczął się zapad głuszców. Ile ich usłyszeliśmy, nie śmiem dziś powiedzieć, lękając się, by mnie nie podejrzywano o przesadę, dość że cichutko, jakby spiskowcy, skradając się nocą z łomu w łom, z bijącemi sercami powróciliśmy do naszego koczowiska. Wieczór był czarownie piękny, stos drzewa płonął przed nami, a przy nim gotowała się kulesza na naszą wieczerzę i piekły na węglach ziemniaki. Nastąpił posiłek, a potem sen. Ale leśna psotnica z kuleby wygnała Morfeusza, za silne były wrażenia, ażeby kto zdołał zmrużyć powiekę. O godzinie 3ciej byliśmy już wszyscy na nogach, a po półgodzinnym uciążliwym pochodzie stanęliśmy na miejscu. Rozpoczęła się owa czarowna, nie każdemu myśliwemu znana muzyka, zwana grą głuszców. Jako wice-gospodarz polowania postanowiłem nie przeszkadzać memu towarzyszowi i najbliżej odemnie nawet tokujących ptaków nie podchodziłem z obawy, by mu którego nie spłoszyć moim strzałem. We dwóch myśliwych polowanie na toku jest niemożliwe. Widocznie Tarnowski kiedyś narazić się musiał srogo leśnej bogini, bo ta na nim straszną wywarła zemstę, dając mu za mentora słynnego niegdyś kłusownika kolonistę Kaspra, który miał kierować pierwszymi krokami mego towarzysza na tem trudnem polu. Może stary Kasper był niegdyś znakomitym myśliwym, ale dziś zębem czasu pogryziony, szwabina stracił i słuch i wzrok. Mentor stał się istnem narzędziem zemsty Diany, bo żadnego głuszca porządnie nie podszedł, lubo się podkradał na rękach i na kolanach nieraz, w czem go też jego pupil jak najsumienniej naśladował. Poranek ten bez wszelkiego pozostał rezultatu. Podsłuch wieczorny był świetny, przeplatany nieznośnem chrapaniem słonek, noc oczywiście znów bezsenna i po niej drugi tok poranny. Psotnica jeszcze się na nas gniewała, bo Tarnowski nawet już będąc teraz pod opieką p. Schmida, rozkoszy strzału nie dostąpił. Ja przedsięwziąłem już także podchodzić i w chwili gdy w najlepsze podskakuję ślicznie grającego koguta, nie wiem czy mefistofel czy psotnica leśna nadnosi Kaspra, który mnie chwyta za rękę i wskazuje siedzącego na wierzchołku jodły innego głuszca. Porzucam tokującego, a całą uwagę zwracam na wskazanego mi przez Kaspra koguta. Widzę wprawdzie ciemną gałęź na wierzchołku, ale z kształtów niepodobną wcale do ptaka. „Schiessen Sie nur!“ woła Niemiec z gorączką. Mierzę, waham się, już chcę strzelić na jego słowo, gdy ten mi wreszcie powiada: „Nein, es ist nur ein Ast.“ Mój piękny, opuszczony przezemnie śpiewak, podczas tej rozmowy odleciał oczywiście. Po raz tysięczny w życiu przekląłem znowu cały ród germański. Leśna psotnica widocznie za pomocą Niemców najlepiej lubi figle płatać myśliwym, to też i Tarnowski podskakując głuszca usłyszał strzał, który ptaka nie spłoszył, a zaraz potem okrzyk: „Łapaj, trzymaj, bo ucieknie!“ Na głos ludzki głuszec jest bardzo czuły, więc odleciał natychmiast. Był to strzał, którym mój młody strzelec Arab zbarczył koguta, a obok niego siedział podleśniczy Niemiec i zaczął te krzyki wyprawiać. Mój młody Arab puścił się w pogoń za uciekającym ptakiem i tropiąc go po śniegu jakby farbującego odyńca, doszedł nareszcie aż na połoninie na samym szczycie góry. Bez innego rezultatu z żalem musieliśmy opuścić uroczy szczyt Girganu i pozostałych na nim skrzydlatych mieszkańców, albowiem mój towarzysz spieszył się na kolej do Doliny. Z wielkim trudem, śród olbrzymich zasp śnieżnych, zeszliśmy po stromym stoku do doliny, w której płynie strumień Prawicz u stóp Pustoszaka. Tam spotkaliśmy posłańca z kartką od Sapiehy, w której donosił, iż od dwóch dni walczy z trzynastoma głuszcami, żadnego nie pokonał, a bez zdobyczy nie chce wracać do domu, wzywa mnie więc na pomoc. Pożegnałem z żalem Tarnowskiego zrozpaczony, że ta wyprawa, na którą go namówiłem, tak nieszczęśliwie dla niego wypadła, i z moim sztabem bez wszelkich żywności, z niemałym trudem wydrapałem się przed wieczorem na szczyt Pustoszaka. Spragniony i zgłodniały na wstępie zainterpelowałem Sapiehę, ażali mnie i mój sztab nakarmi i napoi, ale mój towarzysz, najgościnniejszy gospodarz w domu, gościnnym być nie mógł w swojej kulebie, bo posłaniec do dnia wysłany po żywność do Ludwikówki, dotąd nie powrócił. Ofiarował mi tylko pół topki soli, tabliczkę czekolady i trochę roztopionego śniegu, bo wody na tej górze nie ma. Przybył nareszcie posłaniec i zjedliśmy smacznie coś, co się w kulebie obiadem nazywa. Myśliwych dyletantów radbym widzieć na takich łowach. Dzień ten będzie mógł mój towarzysz zaliczyć do najświetniejszych w swoich annalach myśliwskich, zabił bowiem w tym dniu cztery głuszce, a co więcej w chwili, gdy się składał do starego koguta, który nadobnej głuszycy swoje uczucia spiewem wynurzał, zapadł o kilka kroków koło niego na ziemi głuszec mniejszy *(Tetrao medius, Rakelhahn)* i zaczął tokować, ale głosem raczej zbliżonym do głosu cietrzewia. Po celnym strzale do starego zalotnika, oddalił się niestety ten ptak tak rzadki i tak pożądany w każdem muzeum. Okryty wawrzynami mój towarzysz przedsięwziął poświęcić dzień jeszcze cały dla zdobycia tego ciekawego okazu, który mu uszedł na nieszczęście. Co do mnie, posłuchałem podszeptów psotnicy i przedsięwziąłem dzieło, które, wyznaję, było więcej niż niedorzecznem. Żal mi się zrobiło pozostawionych głuszców na Girganie, i zostawiając Sapiehę na Pustoszaku w zapasach z głuszcem mniejszym, postanowiłem powrócić do tego myśliwskiego eldorado. Obrabowawszy z pomocą mego sztabu kulebę mego towarzysza, aby nie zginąć z głodu, spuściłem się z zaśnieżonych stoków Pustoszaka z rana i idąc dzień cały z niewypowiedzianym trudem, wieczorem na pół nieżywy, strudzony nie do opisania, wraz z moją armią ległem w kulebie na Girganie. Śmiało zaręczyć mogę, iż to była wyprawa najuciążliwsza ze wszystkich, jakie zapamiętam w mojem życiu myśliwskiem, i nikomu z moich braci w Nemrodzie nie śmiałbym jej zalecać. Jeśli kiedy, to wówczas byłbym miał prawo narzekać na psotnicę leśną, która mi to doradziła, ale czyż i tu nie moja była wina? Na domiar nieszczęścia psotnica tak gwałtownie przez cały wieczór dmuchać zaczęła uraganem pośród jodłowych gałęzi, że ten szum uniemożliwił podsłuch. My na Girganie pomimo marszu forsownego oparliśmy się z wieczora Morfeuszowi, ale tego samego wieczora armia na Pustoszaku, wycieńczona bezsennością, kołysana szumem jodeł na gór szczycie, podczas podsłuchu oprzeć się już nie zdołała potędze tego bożka, co makiem na ludzkość sypie, dość że wszyscy naraz, na stanowiskach siedząc na śniegu, usnęli. Bóg wie, jakby to długo było trwało, gdyby jeden ze śpiących myśliwych nie był stracił równowagi i nie spadł z kłody, którą sobie obrał za stanowisko. Popatrzył na zegarek, była już godzina 10ta, zbudził więc towarzyszów. O głuszcu mniejszym nikt oczywiście nic wiedzieć nie mógł. Na toku także już się nie pokazał. Ja na rannym toku zdobywszy nareszcie starego głuszca, powróciłem około południa do Ludwikówki, skąd obładowani sześcioma głuszcami, istni tryumfatorowie, odjechaliśmy do Doliny.

Rozmnożenie tak liczne głuszców w górach Stryjskich, przypisywać można po części staranności straży leśnej, po

części i szczęśliwym warunkom, w jakich się znajduje skrzydlaty ten król górski. Z wrogów, dybiących na niego, groźnym jest chyba tylko orzeł lub ryś, innych drapieżników tam nie ma, a najgorszy ze wszystkich kłusownik nie jest skorym do tak uciążliwych wypraw na ptaka zamieszkującego niedostępne szczyty, z którego bardzo mało może mieć pożytku, gdyż głuszec jako zwierzyna kuchenna wcale nieposzukiwana, mały bardzo zysk sprzedającemu przynosi. Najgroźniejszymi wrogami dla głuszców są niezawodnie pastuszki, którzy z trzodami na całe lato udają się na połoniny i tam przez psotę lęgi niszczą, lub z jaj gotują sobie smaczną jajecznicę. Szczęściem w lasach państwa Wełdzirskiego niebezpieczeństwo to mniej jest groźnem, gdyż bardzo tam mało jest szczytów, na którychby chłopi pastwiska posiadali, a w moich częstych tamże wycieczkach miałem sposobność się przekonać o dziewiczości tych gór, na których szczytach przez rok cały może nie dopatrzy się nawet śladu ludzkiej stopy. W tych warunkach jest nadzieja, że się teraz już tak imponujący stan głuszców bardziej jeszcze z latami rozmnoży i kraj nasz na pierwszorzędnem stanie miejscu co do polowania na te najszlachetniejsze ze wszystkich ptaki, a rozpowszechniające się już nieco u nas zamiłowanie do tych uciążliwych wprawdzie, ale uroczych nad wszystko łowów, nakłoni może właścicieli wielkich górskich rewirów do otaczania głuszca jak najstaranniejszą opieką.

Podkamień 9. Maja 1884.

Z DOŚWIADCZEŃ MYŚLIWSKICH.

OPISAŁ

Józef Świrski.

W numerach 3. i dalszych „Łowca“ u. r. umieścił pan Wierzbicki tak wyczerpujący opis zwierzostanu tutejszej gubernii, lasów okolicznych, jezior i miejsc, obfitujących mniej więcej w zwierzynę, iż nie czuję potrzeby powtarzania jego słów. Od lat najmłodszych miałem szczególny pociąg i zamiłowanie do myśliwstwa, z latami stało się to nałogiem, nic mnie nie odstraszało, ani pluta, ani głębokie śniegi i silne mrozy, byłem też niestrudzony w chodzeniu i wytrwały na wszelkie zmiany powietrza. Na niedźwiedzia i łosia nigdy nie polowałem, bo w naszych stronach ich nie ma, a jeżeli jaki łoś tu się przybłąka, to z pewnością nie długo gości. Wilków jest dosyć, bo gdzież tych drapieżnych żarłoków nie ma? Wilka nigdy nie ubiłem, byłem na kilku obławach, nie miałem jednak szczęścia, bo żaden na mnie nie wyszedł, ale na tych obławach, o ile pamiętam, zaledwo dwa razy udało się zabić jednego, a najwięcej dwa, zresztą wszystkie obławy były bezskuteczne, a to z powodu nieumiejętnego prowadzenia nagonki, najczęściej wilki poszły bokiem, a nigdy na linię strzelców. Kończyło się więc na strzelaniu do lisów i zajęcy, a w braku tych do czapek lub wypróżnionych butelek. Oto moje wyznanie wiary myśliwskiej. Jeżeli tam kiedyś zabiło się lisa albo 4 do 5 zajęcy, kilka par kuropatw lub dubeltów, to nie ma czem się chwalić. Opiszę więc raczej kilka wypadków, jakie mi się wydarzyły w ciągu długoletniego zawodu myśliwskiego. Pan Wierzbicki podał niektóre miejscowości obfitujące w zwierzynę, a między temi wymienił Dembowo i Pale. Z temi miejscowościami zamierzam czytelnika bliżej zapoznać, i przygody, jakie mnie tam spotkały, opisać.

Dawno temu, bardzo dawno, bo z okładem lat 45, znałem w Dembowie strażnika leśnego K., był on potem kapitanem w wojsku tureckiem. Otóż strażnik ten przybył w połowie Sierpnia do Suwałk w interesie służbowym. Poznawszy się ze mną, zaprosił mnie na polowanie, na którem miało być mnóstwo cietrzewi, jarząbków, dubeltów i innego ptactwa. Wierzyłem mu, bo już o tem słyszałem. Niestety na dwa tygodnie przedtem padł mi pies na nosaciznę; gdym się tem kłopotał, zapewnił mnie strażnik, że sąsiad jego ma dobrego psa, a jako niemyśliwy chętnie mi go używać pozwoli. Ruszyłem więc w drogę na Augustów cztery mile szosą, a do miejsca boczną drogą lasami mil trzy. Nazajutrz nie polowałem, bo byłem znużony całonocną podróżą i na moje wielkie zmartwienie nie zastałem owego przyrzeczonego psa, wziął go kuzyn właściciela na cały sezon polowania. Nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem obejrzeć szluzę kanału Augustowskiego, nie dalej jak pół wiorsty od mieszkania oddalonego, poczem udałem się groblą, dość wysoko nad poziom wody wzniesioną, wybornie usypaną, w dół kanału dla rozpatrzenia okolicy. Wszędzie równina, wszystko było widać jak na dłoni, gdzieniegdzie tylko lekkie wzniesienia, jakby wyspy, na których były grunta orne, zresztą dokoła łąki i błota. Wracając spotkałem dozorcę szluzy, opowiedziałem mu cel mego przybycia i zawód, jakiego doznałem co do psa. „To prawda — rzekł on — bez psa nie można tu polować, gdzie takie głębokie mszary, kępy i błota, chyba na kaczki.“ Mówiąc wskazał ręką w górę kanału na wieś, odległą cztery do pięciu wiorst. „Za tą wsią są błota, na których mnóstwo kaczek rozmaitego gatunku, można się do nich nastrzelać do syta.“ Podziękowałem za dobrą radę i poszedłem do mojej kwatery, gdzie domownicy to samo potwierdzili. Nie pamiętam nazwy tej wsi, dotykała ona prawie boru. Nazajutrz jeszcze prawie ciemno było, gdym ruszył. Po za wsią rozpoczynały się biele, gdzieniegdzie stały stogi siana, a za nimi znowu biele wszerz i wzdłuż okiem niezmierzone, wodą zalane. Na prawo, w stronie zachodniej, rozlegały się krzaki karłowatej łoziny, a dalej trzciny i sitowia. Domyśliłem się, że tam musiała być główna kwatera kaczek, poszedłem więc w tę stronę. Zrywały się tu i tam po kilka i kilkanaście, nie strzelałem jednak z powodu znacznej odległości. Gdym się zbliżył do sitowia, zerwało się pięć trawnych (krakwy), strzeliłem z obu luf, dwie spadły. Postępując dalej, ubiłem jeszcze dwie trawne, kiedy nabijałem lufy, spostrzegłem nadlatujące od strony wschodniej tak ogromne stado kaczek, że wschodzące słońce zaćmiły. Takiej masy w jedno stado zebranej nie zdarzyło mi się widzieć. Zapadły o kilkanaście staj, poczem nadleciało drugie, dalej trzecie i czwarte stado, a każde oddzielnie zapadało. Zacząłem podchodzić, zrywały się pojedyńczo, prawie z pod lufy, nie strzelałem, żeby nie płoszyć stad, ale gdy jedna z wielkiego stada mnie spostrzegła, zerwała się, a za nią wszystkie. Poszedłem do drugiego stada i znowu to samo się powtórzyło. Więc strzelałem już tylko do pojedyńczych i zabiłem sześć ceranek. Spojrzawszy na zegarek widzę, że jeszcze za wcześnie do domu. Uważałem, że wszystkie stada uleciały w kierunku południo-

wym, ruszyłem zatem w tę stronę, brodąc w wodzie po kostki, ale im dalej szedłem, tem woda był głębszą, wreszcie dochodziła już po za kolana. Uczułem w butach wodę, więc stanąłem, rozmyślając, co dalej robić. Rozpatrując się w koło, dostrzegłem w stronie wschodniej groblę, ku niej więc dążyłem. Woda sięgała po za kolana, dalej dochodziła już niemal po pas, buty pełne wody, ciężko było, czułem się mocno strudzonym, wlokłem się jednak ku grobli. Była już godzina dziesiąta, postępowałem dalej, nagle zapadam po samą szyję. Zaledwo zdołałem wydobyć się z tej toni, zamoczyłem dubeltówkę i proch z rogiem, torba była pełna wody, zegarek zamokł i stanął, lało się ze mnie jak z rynny. Odstąpiłem kilka kroków w tył, poczem powlokłem się w bok. Idąc, kolbą dubeltówki sondowałem głębokość wody, a dochodziła mi ona po pas. Stanąłem, pożądliwem okiem spoglądając ku obiecanej ziemi, ale jakież było moje przerażenie gdy dostrzegłem, że owa zbawcza grobla była poprzerywana na szmaty. Postępując naprzód, miałbym wodę po szyję, a dalej trzebaby chyba płynąć, nie było więc innej rady, jak zwrócić się ku wsi. Ośm wiorst z okładem, czyż zdołam przebyć strudzony i zgłodniały, bo z chleba i sera w torbie zrobił się żur z mułem zmięszany, tylko kilka grudek sera mogłem wypłukać i spożyć, ale czyż to mnie mogło pokrzepić? Nogi moje jakby dybami skute, gdyby buty można było zdjąć, to w szkarpetkach łatwiejszym byłby mój dalszy pochód, ale każdy myśliwy wie, że głębokich butów bez oparcia zdjąć niepodobna. Rozpocząłem odwrót, pięć lub sześć kroków postąpiwszy, musiałem odpoczywać. Idąc ku grobli, nie zwróciłem uwagi na mały lasek brzozowy, biała jego kora z dala świeciła, trawa zieleniała, ku owemu to laskowi, jak do zbawczej przystani, dążyłem wprost, aby odpocząć i do dalszej przysposobić się drogi. Szedłem krokiem żółwim, byłem mocno osłabiony, zmora senna napastowała, skoro na chwilę stanąłem dla odpoczynku, sen mnie ogarniał, traciłem równowagę i chyliłem się do upadku, ale ostatkiem wysilenia cuciłem się i krzepiłem. Tak uszedłem połowę drogi, ku mojej wielkiej radości woda zniżyła się do kolan, dalej niżej kolan, mogłem więc, oparłszy się o dubeltówkę i podniósłszy jednę nogę po drugiej, wylać wodę z butów. Pozbywszy się takiego ciężaru, szedłem bez odpoczynku, wody już nie było, tylko błoto, za niem nie wielka biela, wreszcie doszedłem do lasku. Na pierwszej kępie siadłem i zaraz zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem, gdym się obudził, trzęsła mną febra. Nim wyruszyłem w dalszą drogę, trzeba było zdjąć buty, oparłem więc nogę o korzeń i począłem ściągać, ale chwycił mnie kurcz tak bolesny, że musiałem usiąść; odcierając silnie żyły, doznałem ulgi, ale skoro nogę poruszyłem, kurcz wracał, wstałem więc i począłem się przechadzać, co lepszy wywołało skutek jak nacieranie. Ruszyłem dalej chromiejąc, całą uwagę zwróciłem na to, co znajdę za laskiem, czy też nie bagno lub wodę. Wychodząc z lasku, dostrzegłem z radością daleką zieleń, nie długą jednak była ta moja radość, zaledwo 50 kroków postąpiłem, ujrzałem rzekę, tamującą dalszy mój pochód. Zbliżywszy się do brzegu, jednym rzutem oka dostrzegłem. że szerokość jej wynosiła 30 do 35 kroków, głąb jej była niezmierzona. Nie przeraziło mnie to na razie, od młodych lat wychowany przy wielkich rzekach, byłem niepospolitym pływakiem, przepłynąć Niemen tam i napowrót było dla mnie igraszką, ale gdym rozważył, że strudzony do najwyższego stopnia, z całym przyborem myśliwskim, w ubraniu nasiąkniętym wodą, z kurczem w nodze, narażę się na śmierć niechybną, rozpacz mnie ogarnęła. Trzeba było jednak coś postanowić i działać, rozglądnąłem się do koła i spostrzegłem nie dalej jak o wiorstę dwoje ludzi pochylonych, coś zbierających, jak później się przekonałem, były to dwie kobiety, które rwały len. Niedaleko od nich, bliżej mnie, na prawo, stał most, świecił jak latarnia, widne były dwie kobylice, po jednej i drugiej stronie na palach wsparte, pokładów nie było żadnych. Po namyśle postanowiłem ściąć kilkanaście drzewek brzozowych, okrzesać z gałęzi, powiązać je z sobą i tym sposobem utworzyć małą tratwę. Sznurków do wiązania nie miałem, ale była chustka od nosa i druga na szyi, te zamierzałem porżnąć w paski, porobić wiązadła, a gdyby ich zabrakło, kawał koszuli na ten cel odciąć. Tak zaimprowizowana tratwa miała unieść dubeltówkę i rzeczy, ja zaś miałem wpław popychać je za sobą. Nie zostawało nic lepszego do wyboru, nocować tu nie mogłem w takim stanie bez narażenia życia. Nie namyślając sią dłużej, odtroczyłem nóż od torby i z tem zbawczem narzędziem ruszyłem do lasku. Już pierwszą sosenkę miałem ściąć, gdy ujrzałem ścieżkę, widocznie przez ludzi udeptaną, w kilku miejscach była trawa świeżo błotem obryzgana, należało się domyślać, że tędy niedawno ktoś przechodził. Poszedłem tą ścieżyną w nadziei dotarcia do ludzi, zaprowadziła mnie ona do rzeki, następnie do gęstego sitowia, w którem ukryte były dwa czółna, jedno większe, drugie mniejsze. Radość moja była wielka; rozglądałem się za wiosłem, ale nigdzie go nie było. Bez wahania wsiadłem do większego czółna i wysunąłem się na pełną wodę, wiosłując kolbą. Tak przeprawiłem się na drugą stronę. Grunt tu był wyniosły, zupełnie suchy, chwastami zarosły. Gdy oddaliłem się od rzeki na sto kroków niemal, spostrzegłem w pobliżu groblę. a za nią na wzgórzu kilka domków, przy jednym z nich, więcej na widok wysuniętym, przechadzał się tam i napowrót żołnierz z karabinem, domyśliłem się, że to kordon czyli linia demarkacyjna Królestwa Polskiego, o czem przedtem nie wiedziałem, że tak blisko znajduję się granicy. Czółna przezemnie znalezione były nie rybackie, lecz przemytnicze, miejscowość na ten cel była dobrze wybrana, bo tu straż ani konno ani pieszo dostąpić nie mogła. Szedłem w pełnej nadziei, że bez przeszkody i suchą nogą dostanę się do domu. Ale w tym dniu licho mnie opętało i figle płatało, kiedy bowiem dochodziłem już do szczytu wyniosłości, znowu zobaczyłem owe dwie kobiety i część mostu, a więcej nic. Doszedłem już tak blisko, że mogłem rozpoznać, czem te kobiety były zajęte: rwały len, a nawet spostrzegłem mędle za niemi ustawione, ale nie widziałem przeszkody dojścia do nich. Grunt począł się zniżać, wtem zajaśniała jakby wąska wstęga wody. a im dalej postępowałem, tem szersze rozmiary przybierała owa wstęga, nareszcie okazała się rzeka, istna siostrzyca poprzedniej. Tym widokiem przerażony, struchlałem; co począć? Chyba mnie dziś zły duch po tem piekle wodzi. O tratwie ani myśleć, nie było tu ani kawałka drzewa, tylko same chwasty, poszedłem więc do mostu, o którym już wyżej nadmieniłem, w celu zbadania, ażali nie znajdę jakiego środka przeprawienia się na drugą stronę. Znalazłem tylko dwie kobylice po obu stronach na palach wsparte, każda z dwóch części złożona, drzewo tak było spróchniałe i zbutwiałe, że przy dotknięciu ręką sypało się kawałkami, ale rdzeń ich był gruby i smolny. Most ten musiał być bardzo stary, widocznie był tu niegdyś trakt komunikacyjny z okolicznemi wsiami i miastem Augustowem, później z powodu kordonu zniesiony. Obejrzałem obie kobylice, pierwsza lubo chwiejna, trzymała się jako tako, druga przy zbiegu spójni osunęła się i chwiała mocno; powróciłem do pierwszej i po razy kilka, ile sił starczyło, wstrząsnąłem nią. Tak wypróbowawszy, postanowiłem przejść.

ale nie na nogach, bo rdzeń był okrągły i sękaty, lecz okrakiem. Nie było innego wyboru, bo słońce chyliło się już ku zachodowi. Włożyłem torbę z kaczkami na jedną, a dubeltówkę na drugą stronę ramienia, siadłem okrakiem i posuwałem się zwolna. Gdyby znalazł się w tem położeniu nieumiejący pływać, lub słaby pływak, przejażdżka taka byłaby bardzo hazardowna, stawiałby życie na kartę, w ubraniu, z takim ciężarem na sobie, z takiej wysokości wpadłszy w wodę, jużby się pewnie z niej nie wynurzył. Taką ewentualność przewidziałem, alem się jej nie uląkł, bo ufałem moim siłom, przytomności, zręczności i wytrwałości w pływaniu. Dobrze to jest umieć pływać, bo bardzo często tęgi pływak, zwłaszcza myśliwy, życie sobie ocala i skuteczną innym niesie pomoc, czego na sobie miałem przykład. Liczyłem zaledwie lat 14, na rzece Narwi pod Tykocinem uratowałem od niechybnej śmierci czworo dzieci. Gdy one tonęły, zbiegło się mnóstwo żydostwa, wszyscy biegali nad brzegiem, nikt nie ratował. Rzuciłem się wpław, czterech chłopców pojedyńczo wyciągnąłem na groblę, piąty zaś najstarszy chwycił się sztuki drzewa bardzo grubego, na którem przed wypadkiem wszyscy siedzieli i z niego wpadli do wody. Belek ów wraz z chłopcem dopłynął ku młynowi i tam wyciągnął go czeladnik młynarski bosakiem. — Wracam do mojej kobyłki. Posuwałem się ostrożnie, omijając sęki, dojechałem do środka, gdzie się zbiegały dwie spójnie, i tu rdzeń mocno się trzymał. Tak tedy dobrałem się szczęśliwie przeciwnego brzegu. Tu grunt był suchy i obsiany, podążyłem w kierunku kobiet, patrzały one na mnie jakby na jakie dziwo. „Pomagaj Boże, kobietki!“ — rzekłem. „Bóg zapłać, aleśma chciały już uciekać, bo po tym zaklętym moście chyba topielec może chodzić.“ Nie chciałem z niemi w dłuższą wchodzić rozmowę, pilno mi było do kwatery, zapytałem się tylko, czy nie ma jakiej przeszkody dostania się do szluzy, a gdy mnie zapewniły, że żadnej nie ma trudności, poszedłem dalej. W godzinę przybyłem do kwatery, wyrzekłem się dalszego polowania, a nazajutrz ruszyłem z powrotem do domu. Dodać tu jeszcze chyba winieniem, że gdyby podobny wypadek mi się wydarzył w późniejszym wieku, to pewnie nie zniósłbym takiej tarapaty bez szwanku dla zdrowia i życia. Bogdaj to młodość!

Może za szeroko rozwiodłem się nad błahym na pozór przedmiotem, ale prawdziwy myśliwy, którego gorączka pędzi do szalonego nieraz czynu w celu osiągnienia zamiaru, usprawiedliwi mnie i może z zajęciem przeczyta tę gawędę i jako przestrogę ją przyjmie.

Suwałki, 1884.

KORESPONDENCYE.

Lwów 15. Maja.

Poluję już od lat trzydziestu i kilku, ale dopiero po raz pierwszy w tym roku, jakby na wety po licznych i różnorodnych polowaniach, zapragnąłem polowania na głuszce, które też odbyłem w Kwietniu b. r. w państwie Nadworniańskiem, w rewirze Zielenica. Kto polował na tego króla kuraków, wie, jaka to rozkosz, wobec której ani dojmujące do szpiku zimno nocy kwietniowej, ni żar piekący gorejącego w kolibie pastuszej ogniska, ani wreszcie dym gryzący oczy, rażący dotkliwie nieprzywykłe do takiej inhalacyi płuca, nie mają znaczenia, sama bowiem nadzieja spotkania się z tym niezwykłym już dzisiaj u nas niestety ptakiem, podnosi ciało i ducha, każe zapominać o ciężkich trudach, o troskach i dolegliwościach życia, a pozostawia w duszy niewysłowioną rozkosz, którą tylko prawdziwy myśliwy pojąć zdoła.

Dnia 17. Kwietnia o 2giej po południu ruszyłem w towarzystwie podleśniczego pana Lisa *per pedes apostolorum* z leśniczówki, a po kilkugodzinnym nużącym marszu po debrach, potokach i górach stanąłem u szczytu połoniny „Hryszynica“ zwanej. Tu przewodnik wyprawy i spólnik mej sławy i niesławy wskazał mi ślady weselnych godów — tokowisko. Niebawem mgła gęsta rozścieliła zasłonę, niedozwalającą dalszego i dokładniejszego badania miejsc ogranych. Na podsłuchach zasadziliśmy jednego koguta, który wcale nie zdradzał ochoty nietylko do grania, ale nawet do telękania, unosząc się tylko z miejsca na miejsce kilka razy e e e się odezwał; podchodzenie więc było niemożliwe, bo cicho siedział i mgła wypatrzeć go nie dozwalała. Podsłuchując jeszcze chwilę, ażali więcej ich zasadzić się nie uda, i żywej doznając emocyi chrapaniem i ćwirkaniem przeciągających nad głową słonek, do których strzelać nie można, opuściliśmy tokowisko i podążyli do koliby. Posiliwszy się i podumawszy przy ognisku, zaszyłem się w kąt, by wypocząć po trudach. Ale niestety duszony dymem i pieczony z jednej strony ogniem, z drugiej zaś mrożony, obudziłem się i opuściłem to iście madejowe łoże. Usiadłszy na kłodzie, wpatrując się w gwiaździsty firmament, kołysany uroczą ciszą nocy, usnąłem wreszcie snem sprawiedliwego. Wnet jednak korpus mój począł tracić równowagę, kiwając się jak żyd na boruchach, machnąłem tak zamaszyście sobą, żem omal nie zleciał z mego prymitywnego fotelu, co mię rozbudziło i to w sam czas, bo już zawsze piękna Wenus zaznaczyła na niebie porę popółnocną, a zegarek wskazywał pół do 3ciej. Drgnęło serce nadzieją „spotkania“, a zziębnięte i strudzone członki wyprostowały się i ożyły. Dalej więc w drogę, bo nie blisko do świątyni Amora, w której romansowy trubadur śpiewa pieśń miłości swej ukochanej, wabiąc ją na schadzkę. Pod osłoną nocy zdążyliśmy wreszcie do miejsca, w obrębie którego Don Juan kurzego rodu miał zginąć. Ledwie stanęliśmy, p. Lis, człowiek zaiste z wzrokiem i słuchem lisa, wyciągnął szyję i przechyliwszy głowę, nastawił ucha. Nagle skinął ku mnie i jak pantera skoczył w kierunku, skąd doleciał go znany mu dobrze głos odzywającego się głuszca. Serce uderzyło mi młotem, dreszcz rozkoszny przebiegł po skórze, czułem, żem pobladł ze wzruszenia i jak automat pomknąłem w ślady mego przewodnika. Stanął, ja także mimowolnie skamieniałem, ale w takiej pozycyi, że począłem chwiać się na drżących nogach. Na szczęście odezwało się te, te, te, te, skaczemy więc dalej i powtarza się to nieustannie, gdy ptak pieśń rozpocznie lub ucichnie. Wreszcie tropowiec mój po kilku jeszcze podskokach przysiadł i palcem wskazał na jodłę. Wytężam wzrok w tym kierunku i dostrzegam na gałęzi kontury dużego ptaka w odległości może 100 kroków. Znowu telęka, a nawet

słychać: klap, klap, klap, klap. Skoczył tropowiec i ja za nim. Wtem nagle uczułem gorąco i ból w oku prawem. O bogi! Gałąź puszczona przez przewodnika poraziła i ubezwładniła ów najpotrzebniejszy zmysł, bez pomocy którego i z mitrailezy nic nie zastrzelisz. Stoję i złorzeczę srogiemu losowi za tę niezasłużoną karę; czemuż nos lub ucho, a nawet obydwa nie uległy temu szwankowi! Lecz p. Lis nieczuły na me nieszczęście, trąca mnie w bok i szepce: „Niech pan strzela“. Ocknąłem się na te słowa, jakby pod działaniem prądu elektrycznego, krew falą uderza mi do głowy, w uszach szumi, śród strugą płynących łez z porażonego oka spostrzegam na gałęzi głuszca może na kroków 70. Drżą ręce i nogi, radbym strzelić, a zapłakane oko nie dozwala dokładnie wziąć na cel. Aliści niespodziewana wcale okoliczność decyduje katastrofę, silne łopotanie skrzydeł i ok, ok, ok przelatującej obok nas kury wywołało ten skutek, że głuszec się poruszył, wyciągnął szyję i dziób począł wycierać o gałęź. W jednem okamgnieniu złożyłem się i palnąłem, a głuszec — poleciał! Pudło! jęknąłem i uczułem ból w duszy, którego wypowiedzieć żadnemi słowy bym nie zdołał. O psotnico zdradziecka! niechże cię jasny... „Proszę pana, siadł na tamtej ot jodle“ — szepnął mój towarzysz. Zamknąłem drżące wargi, niedokończywszy błogosławieństwa, choć złamany tym strasznym zawodem, odzyskuję przytomność i z wielkiem zdziwieniem widzę rzeczywiście tego samego głuszca, siedzącego spokojnie na wskazanej mi jodle. Nie miałem czasu do namysłu, co uczynić należy, bo przewodnik mój przyczajając się jak ryś, zaczął już podchodzić cichaczem, w czem ja go naśladując, wstępowałem w jego tropy. Nie do uwierzenia, a jednak prawda, podeszliśmy głuszca na strzał, chociaż cicho siedział i dzień już był jasny. Ha — myślę sobie — teraz albo nigdy! — cel, pal! i głuszec — jak strzała poleciał dalej. Wszystka krew zbiegła mi do serca, myślałem że się uduszę! Takiego upokorzenia nie spodziewałem się wcale od zdradzieckiej Diany. Pudło i pudło! Straszne to słowo brzmiało mi w uszach jak wyrok potępienia. Wstyd mię ogarnął, czułem jak mi twarz się rumieńcem hańby oblała. Czemuż wyprawa tej nocy, jak ona sama, nie może być mgłą tajemniczą pokryta. Zwiesiłem nos na kwintę. „Jakim śrótem pan strzelał do tego głuszca?“ — zapytał p. Lis. „Ósmym“ — odpowiadam. „No, to nic dziwnego, że głuszec uszedł cały, twarde pierze u tego ptaka, proszę pana, ległby od tego śrótu tylko w takim razie, gdyby dostał w łeb lub szyję“. Wdzięcznem sercem przyjąłem te słowa, uniewinniające zdyskredytowaną fatalnie ambicyę myśliwską, lecz humor diabli wzięli.

Szczęśliwszym był jednak koniec niż początek dnia tego, uśmiechnęła mi się życzliwie zalotna psotnica leśna, snać obawiała się, bym zrażony jej zdradą, nie wyprzągł się z jarzma jej rydwanu, pozwoliła mi pokosztować dotychczas dla mnie zakazanego owocu. Wieczór cichy i pogodny, słonki wabią się miłośnie, lecz ani łopotu skrzydeł zapadających na nocleg głuszców, ni też bodaj lekkiej wieczornej przygrywki nie słychać wcale. Wtem tuż obok nas przeleciał stary tokun i zapadł niedaleko. Słuchamy, czy się nie odezwie, lecz ani mu się śni o tem, widocznie z powodu zimna tok jeszcze słaby, raczej spóźniony. Przewodnik mi szepce: „Podchodźmy!“ Pełzając prawie i rękami śnieg usuwając z pod stóp naszych, po długim czasie p. Lis (godzien tego nazwiska) wzrokiem ostrowidza przeszywając wśród dobrego już zmroku gąszcze lasu, dostrzegł głuszca na jodle. Drgnąłem na widok przedmiotu, do którego wzdychałem z upragnieniem. Oddech w piersi zaparłem, błysnęło, zagrzmiał las zbudzony hukiem Lankastra, a silny odgłos spadającego głuszca obił się wyraźnie o moje uszy. Co czułem w tej chwili, naprożno siliłbym się to wysłowić. Lecz co powiecie na to, kochani druhowie, z tego błogiego wrażenia, którem się w tej chwili pieściłem, psotnica leśna jakby dla doświadczenia mej dla niej niewolniczej miłości omal że mnie nie oddała na pastwę rozpaczy, bo głuszca, który spadł jak czapka, schowała w jamkę pod kłodą, z której dopiero po dość długiem poszukiwaniu wydobyły go ręce p. Lisa. Zaprawdę nie mogłem się nasycić widokiem tego wspaniałego ptaka. O! święty Hubercie, Diano i wszyscy bogowie leśni, dzięki wam, żeście doświadczywszy wierności waszego starego przyjaciela i sługi, wynagrodzili jego wytrwałość i trudy taką zdobyczą! Tryumf upajał mnie, nos rano spuszczony na kwintę wrócił do właściwej pozycyi i raźno i ochoczo podążyłem na nocleg do koliby.

Noc ta różniła się od poprzedniej tem chyba, że gdy tamta była pogodna, to teraz deszcz padał i drzemać na kłodzie, bo z koliby dym mnie wyrugował, przeszkadzał, długą mi też wydała się niezmiernie. Po północy deszcz ustał, a przed trzecią omackiem prawie zdążaliśmy na połoninę. Wśród imponującej ciszy posłyszał niebawem pan Lis odgłos wycieranego dzióba, więc nie czekając dłużej, znać nie spodziewając się dziś posłyszeć pieśni, szepnął: „Podchodźmy!“ Nie wiodło się jednak, głuszec czy przez nas spłoszony, czy też z innych jakich nieznanych mi powodów, kilka razy przesiadał się z miejsca na miejsce. Rozwidniło się już prawie, a o głuszcu nie słychać. „Ha, nie codzień świętego Huberta, pomyślałem, trzeba chyba dać za wygranę“. Wracając, spłoszyliśmy w krzakach znienacka czułą parę gruchającą na ziemi, lecz nie było czasu strzelić. Spotkawszy się następnie z leśnym, który w innem miejscu miał podsłuchiwać, dowiedzieliśmy się, że głuszec, któregośmy prześladowali, pociągnął w tamte strony, i gdy rozmyślamy, co uczynić wypada, przeciągnął koło nas *lupus in fabula* i usiadł na jodle u stoku przeciwległej góry. W jednej chwili plan gotów: „Ty Iwane stij tu i trymaj kohuta na oku — rzekł p. Lis — a pana proszę za mną“. Którędy i z jakiemi ostrożnościami prowadził i zaprowadził mnie dzielny p. Lis na strzał do głuszca, dużoby o tem mówić, koniec końców drugi z rzędu głuszec nie podczas grania, lecz podchodzony cichaczem, co mojem zdaniem większą jest sztuką, a tem samem i zasługą myśliwca, runął po celnym strzale w przepaść dzielącą dwie góry, skąd go sprytny Iwan wyniósł i złożył u nóg moich. Koniec wyprawy uwieńczony sowitą zdobyczą i nowem odkryciem, że można podejść głuszca nietylko podczas jego romansowych marzeń, śpiewnych monologów i pociesznych podrygów, lecz i wtenczas, kiedy on zupełnie spokojnie się zachowuje.

Dla uzupełnienia tego sprawozdania muszę nadmienić, że pierwszego głuszca spolowałem w sam dzień moich urodzin i wyznaję otwarcie, że był on dla mnie najwspanialszym a oraz najmilszym darem, jaki kiedykolwiek w życiu na wiązanie otrzymałem.

Władysław Rieger.

Rusiatycze 14. Maja 1884.

Korzystając z łaskawego pozwolenia i zaproszenia p. W., generalnego pełnomocnika dóbr br. P., wybrałem się 3. b. m. na tok głuszców do Wełdzirza własnymi końmi W niedzielę

*

1. b. m. zjechałem się z moim kuzynem A. S. w Dolinie, który na Stryj ze Lwowa przyjechał pociągiem, i podążyliśmy razem dalej. Za Doliną już świat zupełnie inny. Z jednej strony podnóże Karpat, piękne lecz dzikie, z drugiej strony cywilizacya europejska i przemysł na wielką skalę, gdyż w Wygodzie między Doliną a Wełdzirzem jest fabryka wyrobów drzewnych, własność młodego barona P. Tam to i mila własnej kolei żelaznej do Doliny i niezliczona ilość domków, domów i wil dla robotników i urzędników, i ogromna fabryka parowa, i kolej konna, i olbrzymia klauza na Świcy do łapania kloców, i 2000 ludzi dziennie zatrudnionych, słowem ruch fabryczny, jakiego dotąd nigdzie w kraju nie widziałem. Z Wygody do Wełdzirza mila, a stamtąd do Ludwikówki, wsi w środku gór położonej, trzy mile. Tam oczekiwał nas pan taksator M., jeden z urzędników państwa Wełdzirskiego, kazał się wyspać w bardzo przyzwoitym domu zajezdnym, i nazajutrz o dziesiątej rano wyprawił do leśniczówki Beskidem zwanej. Tu naprzód uwiadomiony leśniczy czekał na nas z czterma ludźmi, gotowymi do niesienia naszych rzeczy na górę. W ogóle wszyscy ci panowie byli tak uprzedzająco grzeczni, że nie wiedziałem rzeczywiście jak im dziękować O drugiej stanęliśmy w Beskidzie Zaraz stamtąd marsz bardzo forsowny i przykry na górę Menczul 5600 stóp wysoką, a o pół do 5tej byliśmy już u szczytu, gdzie ludzie z nami przybyli zrobili nam kolibę do spania, gdyż niepodobieństwem było codzień schodzić na dół. Byliśmy tam na czterech zapadach i tyluż tokach, i mimo naszej niewprawności w tym rodzaju polowania, rezultat wypadł bardzo świetnie, gdyż ja zabiłem dwa koguty, a mój towarzysz jednego, z sześciu które na Menczulu tokowały. Jak żyję nie widziałem głuszca przedtem, gdy przeciwnie z cietrzewiami i ich tokiem jestem dobrze obeznany, gdyż siedziałem na nie pewnie ze dwadzieścia kilka razy, i znajduję, że tok jednego i drugiego ptaka zupełnie do siebie niepodobny. Cietrzew bardziej ostrożny, hałaśliwy do tego stopnia, że go niemal o ćwierć mili słychać, wyrabia takie skoki i ewolucye, i to zwykle na ziemi, że choćby go nie strzelić, już dość słuchać i patrzeć. Głuszec przeciwnie da się podejść łatwiej, jego telękanie głośne ledwo na sto kilkadziesiąt kroków, tokuje więcej na drzewie jak na ziemi, a wsunąwszy się między gałęzie u szczytu niebotycznej sosny lub świerka, gra tak spokojnie, że go dostrzedz nie sposób. Byłem trzy razy pod jodłą, na której głuszec tokował, a przecież nie widziałem go i nie mogłem strzelić. Mimo to jednak dla mnie tok głuszca czy to dla trudów, jakie się po ponosi — bo ekspedycya cała jest istotnie mozolną — czy też dla rzadkości tego królewskiego ptaka, ma tyle uroku, jak żadne inne ze znanych mi dotąd polowań. Chyba dzik przy psach i to odyniec, może więcej zelektryzować, jak to ciche telękanie głuszca, gdy się go w pieśni podchodzi. Żyliśmy tam na górze różnie, i dobrze, gotując oczywiście sami co Bóg dał, i źle, żyjąc jeden dzień chlebem tylko i wodą, bo nam brakło wiktuałów. Mieliśmy pogody trzy dni bardzo pięknej, a jeden dzień lało jak z cebra. Kora na kolibie przemokła, a mój towarzysz podartemi umyślnie na to chustkami zatykał ciągle choć bezskutecznie dziury, by wodę na nas kapiącą o ile możności na bok odprowadzić. Tego dnia także wiatr obrócił się ku nam, a dym, popiół i iskry z ogniska leciały do koliby tak, żeśmy je musieli na inne miejsce przenieść, a tymczasem zmoknięci do nitki marzliśmy bez ognia. Piątego dnia rano ruszyliśmy na dół do leśniczówki, śniegi już znacznie stajały przez ten czas, mimo to zejście było bardzo żmudne Podziękowaliśmy panu leśniczemu za jego trudy i pojechaliśmy do domu z modlitwą dziękczynną do św. Huberta na ustach i błogosławieństwem w duszy dla p. W. i dla właściciela, którzy nam pozwolili przebyć tak miłe cztery dnie w górach, nasłuchać się telękania głuszców, napoić się widokiem cudownej natury i żyć wspomnieniami tegorocznego toku, gdy Bóg da zdrowie, siły i wolną głowę znów do przyszłej wiosny.

E. O.

Dora 7. Maja.

Gdyby ktoś zechciał z rezultatów polowań ubiegłego roku zdać sobie sprawę ze stanu obecnego łowiectwa naszej okolicy, to wynik w każdym razie musiałby niekorzystnie wypaść. Mała ilość zabitej zwierzyny nie może jednakże dać dokładnego obrazu o prawdziwym stanie zwierzyny, trzeba koniecznie ten stan, jaki jest w lesie, wziąć pod uwagę. Okolice tutejsze, jako obszary większych posiadłości, należą głównie do dwóch właścicieli, t. j. do c. k. rządu i do wiedeńskiego Bodencredit-Anstalt. Obaj ci właściciele prowadzą polowanie w własnych lasach w swoim zarządzie, jak również i na obszarach gminnych ich okręgów polowania wydzierżawiać się starają. Starania te nie inaczej jak korzystnemi nazwać można, gdyż tak zarząd dóbr zakładu Bodencredit jak i c. k. dyrekcya lasów i domen, racyonalną gospodarką pomyślny stan zwierzyny utrzymać usiłują. Specyalnie co do dóbr kameralnych, sądząc po tutejszych stosunkach, na żaden sposób nie mogę się przechylać do zdania hr. St. Tarnowskiego w nr. 5. „Łowca“ z. r., jakoby był to „teren, na którym bujnie rozrasta się kłusownictwo“, jak również że „w dalszych górskich kniejach rządowych idą rzeczy po staremu (t. j. kozy biją)“. Owszem, pielęgnują tu zwierzynę jak najstaranniej, urządzając lizawki, niszcząc drapieżną zwierzynę, odbierając kłusownikom strzelby i oddając ich władzom do ukarania. W pierwszym rzędzie należy się uznanie c. k. nadleśniczemu p. K. w Delatynie. Jak zaś zapamiętali są Huculi, najlepszy dowód w tem, że jednemu z nich trzy razy w ubiegłym roku strzelbę odebrano, opłacał kary i odsiadywał, a pomimo tego znowu teraz strzelbę posiada, którą naturalnie w jakiem dziuple w lesie przed niebezpieczeństwem przechowuje.

W niektórych miejscowościach są dzierżawcami polowań gminnych inni, osobliwie urzędnicy. Zadziwia nas jednak, iż w jednej z większych miejscowości właścicielem gminnego polowania jest *de nomine* człowiek liczący się do inteligencyi, który *de facto* daje tylko swoją firmę, podczas gdy szajka huculów, będąca u niego zaprzysięgłymi pobereźnikami, jest właścicielem, opłaca bowiem czynsz dzierżawny i poluje, gdy nominalny właściciel nigdy się tam na polowaniach nie pokazuje. Ze strony prawnej temu stosunkowi nic nie można uczynić, gdyż wszystko po formie się stało.

Stan sarn jest pomyślny, a nawet o tyle pomyślniejszym, że np. w rewirach Delatyńskich wolno było 20 sztuk starych siut ubić. Ucierpiały natomiast częściowo od rysiów, których trzy sztuki włóczyły się tej zimy po okolicy, a wiadomo, jak trudne na nie polowanie, bo spotkanie z rysiami raczej przypadkowi przypisać należy, aniżeli umyślnej wyprawie. Wilki również zabrały część swoją, na nie zastawiano ścierwa zatrute strychniną. W jesieni zeszłego roku spędził wilk rocznego capka z gór ku wsi, gdzie capek przebył jeszcze Prut i zabłąkawszy się pośród ogrodów, zmęczony, dał się huculom złapać. Wracając do strychniny, opowiadano mi, że ścierwo z zatrutego strychniną lisa rzucono w krzaki, gdzie je znalazły swojskie świnie i zjadły je, a strawa ta im wcale nie szkodziła. Bez wątpienia musiało ścierwo dłuższy czas leżeć

pod działaniem wilgości i strychnina musiała swą siłę stracić, albo też że „ein Saumagen kann alles vertragen“.

Jelenie stale w okolicy tej nie przebywają, natomiast są liczne w sąsiednich lasach wsi Zielonej, skąd na zimę do nas schodzą. Mogłyby i u nas przez lato przebywać, gdyż lasy są obszerne, staje jednak temu na zawadzie niespokój z powodu pasania bydła po połoninach i lasach. Przy sposobności muszę nadmienić o zgubnej czynności żydów, zajmujących się handlem zwierzyny, naturalnie od kłusowników. W lecie ubiegłego roku kupił jeden z przebywających w Dorze gości kąpielowych u takiego parę jelenich 14 końcowych rogów za 8 złr., które jeszcze nie zupełnie otarte były, najlepszy dowód, że jeleń ten w porze zabronionej ustawą zabitym został. Żyd-handlarz płaci kłusownikowi bajecznie niskie ceny za ubitą zwierzynę, wie bowiem z kim ma do czynienia, a kupiwszy sprzedaje o wiele niżej, aniżeli dzierżawcy polowań to czynić mogą i chcą.

Stan zajęcy był średni, w jesieni i zimie dosyć wyginęło w skutek tamtegorocznej mokrej wiosny. W nadzwyczajnej ilości rozmnożyły się dziki i tem większa ich ilość spodziewana jest na kartofle i kukurudzę w jesieni tego roku, gdyż tej zimy zaledwie kilka sztuk w całej okolicy, najwięcej w zarządzie Osławy, padło. Prawdziwa to plaga na zasiewy, a w jesieni połowa wsi nie spi, odpędzając je. Po części winni temu sami huculi, którzy wtedy idą jako nagonka, jak długo kartofla na polu, skoro zaś zbierą, trudno ich poruszyć, by na nagonkę poszli. Osobliwie dzieje się to w zimie, kiedy po świeżym śniegu najłatwiejsze ich otropienie; na czarnej stopie, kiedy huculi mieliby ochotę pójść, wtedy trudno otropić. Stąd narzekania częste na dzierżawców polowań. W jesieni ubiegłego roku kilku huculów podało do starostwa prośbę o wydanie im pozwolenia używania broni (nie kart na broń, lecz certyfikatów niepłatnych), na co starostwo odpowiedziało, że podobnych kart nie może wydawać, gdyż nie są w ustawie ugruntowane. należałoby jednak coś uczynić, by tym niedogodnościom zapobiedz nadal.

W Prucie, a osobliwie w małym dopływie jego Żonka, przebywają wydry, gdzie pstrągi znaczną część pożywienia ich stanowią. Na sam Nowy rok przydybałem na Prucie 3 sztuki wydr, które pomimo iż na brzegu opodal huculi kloce zwozili, wcale ochoczo za pstrągami pod lód szły. Nieszczęście chciało, żem był tylko z laską.

Dora wzbogacona została jednym więcej gatunkiem zwierzyny, a to kuropatwą. W Delatynie od strony Stanisławowa przebywają, tutaj zaś tylko czasami zalatywały. W jesieni przydybałem stadko złożone z 8 sztuk, a w lutym widziałem je już rozdzielone. Przytem muszę nadmienić, że Dora znajduje się na wysokości 508 metrów po nad powierzchnią morza. Co zaś do słonek, to muszę się dla górskich stron do zapatrywań wyrażonych w kwietniowym numerze „Łowca“ przychylić o tyle, że spóźniona pora wiosenna, jak zwykle w górach, pociąga za sobą, że ciąg słonek później aniżeli w dołach się odbywa. Ustawa wzbrania od 20. Kwietnia strzelanie słonek, przypatrzmyż się wiośnie górskiej z ostatnich dwóch lat. W r. 1883 śniegi zeszły z gór dopiero z początkiem Marca, na dołach dopiero z początkiem Maja, a zatem ciąg słonek był prawie niemożebny, a tem bardziej strzelanie. Tego roku właśnie dopiero od 20. Kwietnia zaczęła się pogoda ustalać i śnieg przestał padać, gdyż 15. Kwietnia, t. j. na Wielkanocne święta, jeszcze śnieżyło, a 8. Kwietnia był mróz 5 stopniowy. Ustawa jednak już zabrania od 20. Kwietnia strzelać. Należałoby zatem porę strzelania słonek na ciągu wiosennym w górach przynajmniej do 1. Maja przydłużyć. Jarząbki w średniej ilości, a głuszce już odtokowały.

C. Kochanowski.

Ponieważ rzecz tu poruszona nietylko dobra całego społeczeństwa, lecz może przeważnie społeczeństwa myśliwskiego dotyczy, pozwalam sobie przesłać sz. Redakcyi roślinę wypróbowaną jako lek niezawodny na wodowstręt, z prośbą o zdeterminowanie jej i rozsadzenie. Bardzo mi na tem zależy, żeby tę roślinę, o której skuteczności przeciw wściekliźnie jestem przekonany, rozpowszechnić. Twierdzenie moje uzasadniam następującymi faktami. Przed dwoma miesiącami prawie wpadł w nocy wściekły pies do otwartej stajni na folwarku Herbutowskim, gdzie parobek zrzuciwszy buty zabierał się do spoczynku, i począł żreć go po nogach. Parobek broniąc się chwycił psa za kark, ale ten pokaleczył mu rękę, poczem porzuca parobka, wpada do piekarni pełnej bab, ale na szczęście nawinęła mu się indyczka, którą szarpnął zaciekle i tak sobie pysk pierzem zapchał, że nie mógł nikogo więcej ugryść. Wreszcie drągami wygnany, zniknął. Rano dopiero pojawił się we wsi i tam go zabito. Gdym się nazajutrz rano o tym wypadku dowiedział, całą nadzieję uratowania pokąsanego parobka pokładałem w człowieku mieszkającym w Mużyłowie na Podolu, o którym wiedziałem, że od dawnych lat zajmuje się szczęśliwem leczeniem wodowstrętu, a nawet przed kilkunastu laty wysłałem do niego mego służącego, pokąsanego przez wściekłego psa, który zdrów do domu powrócił. Niestety dowiedziałem się, że ów człowiek już nie żyje i nikomu swego sekretu nie udzielił. Nie pozostawało nic innego, jak wysłać parobka do szpitala Lwowskiego lub oddać go w kuracyę miejscowemu lekarzowi, co też uczyniłem, lubo wiedziałem, że nasi doktorowie na wodowstręt lekarstwa nie mają i tylko na jątrzeniu ran i błahych środkach ratunek cały zasadzają. Prawie równocześnie wściekł się pies u strzelca dworskiego w Bołszowcu i pokaleczył mu wieprza. Psa zastrzelono, a wieprza pokaleczonego byłby ten sam los spotkał, gdyby nie ratunek, jaki nam niespodzianie Opatrzność zesłała. Oto może w pięć dni po owej katastrofie parobka, a trzy dni po pokaleczeniu świni strzelca, odwidził mnie pan Burzyński, notaryusz z Bursztyna, i gdym mu owe fatalne zdarzenie odpowiedział, powiedział mi, że w Bursztynie mieszka włościanin, który posiada lekarstwo na wściekliznę i niedawno okazał niezawodną skuteczność jego u dzierwawcy Bursztyńskiego, pana Malinowskiego, któremu wściekły pies kilka sztuk nierogacizny pokąsał. Lekarstwa tego użył pan Malinowski dla wypróbowania tylko u kilku sztuk, i te wyzdrowiały, wszystkie inne się wściekły. Nie zwlekając posłałem zaraz po tego chłopa, który tylko jedną część swego lekarstwa przywiózł, i dał go parobkowi, dla świni zaś strzelca przywiózł dwa dni później inną, dał strzelcowi wraz z wskazówką, jak je ma przyrządzić i zadawać, sam zaś musiał spieszyć do domu. Strzelec ściśle wykonał polecenie, ale przy tej sposobności zachował dwa kawałki tej rośliny, z których jeden dałem naszemu ogrodnikowi do rozmnożenia, a drugi sz. Redakcyi posyłam. Od kilkudziesięciu lat leczy ów chłop w Mużyłowie zagrożonych wścieklizną, i nie słyszałem, iżby kto po odbytej kuracyi w Mużyłowie podległ tej słabości, a mój służący powróciwszy ztamtąd po odbytej kuracyi, opowiadał, że zastał tam wiele ludzi i zwierząt w kuracyi, a ciągle nowi przybywali, tak, że nie mógł ich u siebie pomieścić. Mogę na pewne twierdzić, że lekarstwo chłopa z Mużyłowa i chłopa z Bursztyna jest jedno i to samo,

ponieważ według opowiadania mego służącego jednakowe skutki sprawia, t. j. pacyent dostaje mocnych wymiotów. Rany podczas kuracyi nie powinne się goić, przeciwnie, przez zmywanie octem lub lapisowanie utrzymuje się je w stanie ropienia, dopiero w drugim miesiącu mogą być gojone. Sposób użycia jest następujący: Ponieważ roślina ta ma grube korzenie, więc bierze się ich tyle, aby wyrównały wielkiej kartofli, i po obmyciu prochu lub ziemi kraje się w drobne kawałeczki i zalewa pół kwartą słodkiego mleka w garnuszku. Po przegotowaniu pod nakrywką zlewa się mleko do garnuszka lub szklanki i daje pacyentowi do wypicia naczczo, korzenie zaś pozostałe wyrzuca się. Tego przegotowanego mleka powinno być dwie szklanki. Po niejakim czasie pacyent uczuje nudności, potem następują wymioty, które nie powinne pacyenta niepokoić, dozna bowiem po ustąpieniu ich uczucia błogiego, jak mi to mój parobek opowiadał. Parobek ten w 5 dni dopiero po ukąszeniu używał tego lekarstwa i twierdzi, że już był bardzo niespokojnym, dwoiło mu się w oczach, dopiero po wymiotach uczuł się zdrowszym. Dla świni użyto takiej samej ilości rośliny i i mleka, tak samo ugotowano, tylko nie odlewano mleka oso bno, lecz dano razem z korzeniem do zżarcia. Dziś prawie dwa miesiące mijają, pacyenci zupełnie zdrowi i spodziewam się, że i dalej nic złego się nie okaże. Dodać jeszcze muszę moją uwagę, że nasz ogrodnik (fachowy w swoim zawodzie), gdym mu kawałek korzenia dał do rormnożenia i powiedział, do czego ma to służyć, zapewnił mnie, że ma tej rośliny wiele w ogrodzie i że chciał ją z ogrodu jako niepotrzebny chwast wyrzucić, lecz kobieta pracująca w ogrodzie powstrzymała go utrzymując, że to bardzo pożyteczne ziele, szczególnie przeciwko wściekliźnie. Więc zna właściwość tej rośliny, ale nie zna sposobu użycia, więc nie ośmiela się nią leczyć. Czytałem niedawno korespondencyę w „Łowcu", w której właściciel Brodów i hr. Tyszkiewicz uznają lekarstwo pana Patkiewicza przeciw wściekliźnie jako istotnie skuteczne; mnie się zdaje, że ono z tej samej rośliny się składa.

E. Berzewiczy.

P. R. W dziele J. R. Czerwiakowskiego: „Botanika szczególna", część III. na str. 1468 znajdujemy obszerny opis powyższej rośliny. Nosi ona nazwę: *Scopolina atropoides*, lulecznia pokrzykowata L., dawniej zwano ją: Psinki włoskie lub wielkie skalne, także nocny cień. Ziele trwałe. Rośnie miejscami po cienistych i nieco górzystych lasach Europy umiarkowanej i północnej, kwitnie od Kwietnia do Czerwca. Chociaż słabsze w skutkach, używane jednak bywa gdzieniegdzie zamiast Lulka *(Hyoscyamns scopolia L.)*.

KRONIKA.

Kolbuszowa 29. Kwietnia.

Na posiedzeniu członków tutejszego Towarzystwa łowieckiego wybrano komitet dla powiatu Kolbuszowskiego na rok 1884, w którego skład weszli: Zdzisław hr. Tyszkiewicz jako prezes, Maksymilian Zdulski jako wiceprezes, wreszcie jako członkowie: Erazm Długołęcki, Michał Galiński i Szczęsny Plisz. Po wysłuchaniu sprawozdania z czynności Towarzystwa łowieckiego za rok 1883 załatwiono kilka spraw lokalnego znaczenia i postanowiono wnieść petycyę o zmianę niektórych punktów ustawy łowieckiej, mianowicie o zakaz polowania na zające przed 1szym Października, tudzież zakaz strzelania sarn na wychodnem w polu i nocną porą. Wniosek drugi zbyt wielkiej jest doniosłości, aby o nim pobieżnie tylko wspomnieć, zwłaszcza że spodziewamy się poparcia galic. Towarzystwa łowieckiego. Nietylko w tutejszym powiecie z znacznymi obszarami lasów, ale w całym kraju rozwinęło się kłusownictwo do niesłychanych rozmiarów, a wszelkie starania stowarzyszeń łowieckich i pojedyńczych właścicieli polowań zapobiedz mogą kradzieży zwierzyny jedynie wtenczas, gdy sprawca schwytany na cudzym obszarze dostanie się w ręce sądu. Nie ma jednak ustawy, którąby zabraniała dzierżawcy polowania gminnego, strzelanie do sarn wychodzących wieczorem z lasu na żer, polujący więc na polach, graniczących z lasem, może w granicach zupełnie legalnych wytępić cały zwierzostan sąsiada, wystrzelać sarny, których wieczorem nawet przy najlepszej chęci rozróżnić nie potrafi, i usunąć się z pod wszelkiej kontroli, niemożliwe bowiem jest sprawdzenie, czy strzał padł w nocy z broni uprawnionego lub też kłusownika. To najważniejsze powody, które skłoniły Towarzystwo łowieckie powiatu Kolbuszowskiego do wyjednania ustawy, którąby zabraniała polowanie na polach nocną porą na wychodnego na przestrzeni przynajmniej jednego kilometra odległej od granicy lasu. Że takie ograniczenia nie są nowością, świadczy francuska ustawa łowiecka, a wiadomo, że ustawodawstwo francuskie należy do najliberalniejszych. Odnośny ustęp brzmi w dosłownem tłumaczeniu: „Ustawa o prawie polowania z dnia 3. Maja 1841 w Tuileryach, art. 12: Karani będą grzywną 50 do 200 franków lub więzieniem 6 dni do 2 miesięcy. 1. ci którzyby polowali w czasie zabronionem, 2. ci którzy polują w nocy lub z pomocą narzędzi i przyrządów zakazanych, lub też innymi sposobami, jak tymi, do których używania art. 9. niniejszej ustawy uprawnia, 6. ci którzy polują z wabikiem. Kary pieniężne podwaja się dla tych, którzy w nocy na obcem terytoryum polują." Artykuł zaś 9. powiada wyraźnie: „Karta polowania uprawnia każdego do polowania w pozwolonym czasie w dzień, z bronią palną i *par force* na terytoryum własnem, a na obcem z zezwoleniem tego, do kogo prawo polowania należy. Wszelkie inne sposoby polowania, z wyjątkiem siatek do łowienia królików, są surowo wzbronione. Oto wyciąg z ustawy francuskiej. Jeżeli tam takie ograniczenia istnieć mogą, to nie można wątpić, że i u nas zaprowadzićby się dały, zwłaszcza wobec tak częstych wypadków dzierżawienia polowań przez włościan, z którymi konkurencya niemożliwa, gdyż włościanin najchętniej jak najwyższy czynsz ofiaruje, mając przekonanie, że mu takowy przez członków gminy całkowicie zwrócony będzie, a więc *de facto* za dzierżawę nic nie zapłaci.

M. Galiński.

Ułaszkowce.

Korzystając z łaskawych zaprosin sz. Zarządu lasów, byłem tego roku na kilku polowaniach, które, jak zwykle, świetne przyniosły rezultaty. Ponieważ nikt dotąd o nich w „Łowcu" nie doniósł, ośmielam się w kilku słowach skreślić wrażenie, jakiego doznali myśliwi na polowaniu odbytem dnia 31. Stycznia w lesie zwanym Halileja, należącym do Ułaszkowiec. Od godziny 5. rano padał deszcz rzęsisty, mgły opadły dopiero koło 11tej przed południem i trochę się rozjaśniło. Zjechało się 16 myśliwych i koło 12tej zajęto pierwszy miot. Z powodu czarnego pola trudno było obtropić dziki, a na nie głównie się wyprawiono, i tylko znakomitej znajomości kniei tamtejszego leśniczego przypisać należy, iż w tym pierwszym miocie dziki ruszono. Ile było sztuk w stadku, trudno było w pierwszej chwili orzec, tem bardziej, że myśliwi na 8mym i 9tym stanowisku zajęci byli pojedyńczą sztuką, do której padły cztery strzały, a tuż za nią przemknęło całe stado. W tym pierwszym miocie ubito tylko jedną maciorę i kilka sztuk drobnego zwierza, a wolno było strzelać do wszystkiego prócz kóz, gdyż dziki nie były obtropione. Stracono już nadzieję spotkania się z dzikami, więc drugi miot wzięto w grubym lesie przeważnie na kozły, a śmiało można twierdzić, iż żaden na całem Podolu rewir tak wielką ilością sarn poszczycić się nie może. Ja na mojem stanowisku widziałem 36 sztuk. Miot trzeci przypadł w zrębach, gęstych dębowych zaroślach, poczem myśliwi cofnęli się wstecz o jeden miot następny, a pogonka pozostała w miejscu. W tym miocie padło kilkanaście strzałów do dzików, które pierzchły, nie uchodząc daleko. W czterech następnych miotach strzelano gęsto do dzików, ale nie ubijano, bo strzelano przeważnie śrótem. Rezultat jednak okazał się wcale piękny, w niespełna 4 godzinach padło 7 dzików, 8 kozłów, 3 lisy i 28 zajęcy. W ostatnim miocie postrzelono ciężko dwa dziki, których z powodu zapadającego zmroku nie odszukano, a pięć sztuk mocno postrzelonych przeszło w sąsiednie lasy, gdzie nie można było ich dojść.

Śród 16 myśliwych jeden tylko wcale nie strzelał do dzików. Dopiero po ostatnim miocie obliczono, iż w stadzie było 15 sztuk, nie wiele zatem zdrowych uszło, nie wielka też nadzieja rozpłodu z tego stada, bo ubito z niego 7 loch. Zadziwi pewnie sz. czytelnika, iż w tak pięknych kniejach mało stosunkowo padło zajęcy, ale zając był wtedy przeważnie w polu, wreszcie każdy z myśliwych wyczekując dzika, przepuszczał zająca.

R. S.

Zbaraż 21. Kwietnia.

Dnia 17. b. m. wybrałem się z wyżłem w towarzystwie mego syna, który ze szkół na święta przyjechał, do lasu Zbaraskiego na słonki. Kilka godzin buszowałem po zrębach i młodych zapustach, ale ani jednej słonki nie znalazłem. Przed zachodem słońca nadszedł podleśniczy i powiedział, że wskaże mi miejsce, gdzie słonki, jeżeli tylko są, niezawodnie ciągną. Ponieważ jeszcze dosyć było czasu, szliśmy wolno ścieżką leśną, rozmawiając, a wyżeł buszował po krzakach. Naraz począł naszczekiwać w jednem miejscu, więc pospieszyliśmy tam w celu sprawdzenia, co to być może. Doszedłszy ujrzałem niedaleko przed sobą kozła dużego, stojącego w krzakach, a wyżła skaczącego około niego. Gdyśmy się zbliżyli, począł kozioł uciekać, ale spostrzegliśmy, że się źle podpiera tylnemi nogami (cewkami) i że pies tuż za nim goni. Postanowiłem spróbować, czy go nie złapię, i puściłem się w pogoń za nim między krzaki i gdy już niedaleko niego byłem, rogacz się splątał i padł, a nim się zdołał poderwać, przyskoczyłem i chwyciłem go za rogi. Wyrywał się wprawdzie silnie i beczał przeraźliwie, ale go już nie puściłem. Szamotając się z nim, spostrzegłem krew na jego nogach, a gdy w skutek umęczenia już spokojnie leżał, zobaczyłem, iż ma prawą nogę w kolanie skaleczoną, jakby wydarty kawał mięsa, a lewą nogę założoną za ścięgno w zranionem miejscu tak, że kompletnie był spętanym, a prócz tego lewa noga była wyżej raciczek w kostce zwichniętą i nabrzmiałą. Nic dziwnego, że tak skaleczony dał się schwycić. Nadeszli syn mój z podleśniczym, z którego pomocą wyciągnąłem zaplątaną nogę, poczem puściłem biedne zwierzę, sądząc, że umknie i rana z czasem się wygoi. Zerwał się rogacz natychmiast i pomknął, ale kilkanaście kroków zaledwie ubiegłszy padł, a poderwawszy się znowu legł i dalej już iść nie mógł. Widząc, że stanie się pastwą wilków, włóczących się w tych lasach, lub też psów wiejskich, uganiających tu swobodnie po polach i lasach i czyniących znaczną w zwierzynie szkodę, dobiłem go strzałem. W jaki sposób był tak skaleczony, trudno na pewne orzec, ale niezawodnie nie był postrzelony, bom się dobrze ranie przypatrzył. Przypuszczam, iż to się stało w walce z rywalem, lub prawdopodobniej skaleczył się wetknąwszy nogę pędząc w rozpadlinę skalną, a potem spętał się, czuchrając się drugą nogą. W każdym razie zdarzenie to nader niezwykłe i rzadkie. Potem poszliśmy na wskazane przez podleśniczego miejsce, ale ani jedna słonka się nie pokazała, zapewne już przeciągnęły.

Z. Dzierżanowski.

Przesyłam wypis z „Ziemianina", zawierający wiadomości, które wobec oczekiwanych zmian prawa o polowaniu mogą być dla nas ważne. Wielkiej w naszych stosunkach doniosłości byłoby ograniczenie polowania na wychodnego przy granicach rewiru, ten bowiem sposób polowania przez kłusowników i włościan praktykowany, jest zdaniem mojem jedną z najważniejszych przyczyn nędznego stanu zwierzyny. We Francyi istnieje ogólny zakaz polowania w nocy, obecnie zanosi się na coś podobnego w Niemczech, u nas tylko panuje pod tym względem zupełna samowola, na której ogół cierpi, a najbardziej ten nieszczęsny, któremu los każe sąsiadować z dzierżawcą polowania włościaninem. Towarzystwo myśliwskie Kolbuszowskie uchwaliło na ostatniem walnem zgromadzeniu jednogłośnie podobny wniosek, a trzeba wiedzieć, że na tem zgromadzeniu obecni byli prócz jednego właściciela większej posiadłości sami urzędnicy i wojskowi, a więc ludzie własnych polowań nie posiadający, lecz tylko dzierżawiący takowe, nikt więc towarzystwa tego o wsteczność lub stronniczość jaką posądzić nie może. Kiedy więc na postępowym zachodzie nie wahają się ograniczać samowoli, nie pozostawajmy i my w tyle pod źle zrozumianym płaszczykiem równouprawnienia. Karty na polowanie *(permis de chasse)* wszędzie już prawie zaprowadzone, również u nas byłyby pożądane. Opłata 5 lub 10 złr. rocznie nie zrujnuje myśliwego, uzyskałoby się fundusz znaczny na jakiś cel publiczny, kogo zaś nie stać na taką kwotę, ten niech kupi tańszą fuzyę, lub co lepiej pozbędzie się jej, i czas, któryby stracił na polowaniu, użyje korzystniej.

„Ziemianina" nr. 1. r. b. pisze: Izba Panów obradowała nad projektem do nowego prawa o polowaniu i w kilku punktach takowy zmieniła. Między innemi podwyższono opłatę kart do polowania na 20 marek, przyczem postanowiono, że osoby nie będące poddanymi pruskimi, mogą nabywać karty do polowania na dnie, od których płacić się będzie po 2 marki na dzień. Dalej nie będzie wolno polować na stanowisku (na upatrzonego) na godzinę przed i tyleż po zachodzie słońca, jak w oddaleniu najmniej 3000 metrów od granicy obwodu polowania. Nie wolno polować z fuzyą i psem w niedziele i święta — i inne zmiany mniej nas obchodzące.

C. K.

Teleśnica sanna.

Nie należę do Towarzystwa łowieckiego, więc może nie mam prawa odezwać się w organie jego, ale starcowi z siedmiu krzyżykami niech sz. Redakcya otworzy gościnę. Od wielu lat już nie poluję, ale jak mówi dawne przysłowie: „stary woźnica bicze kręci", i mnie myśliwstwo zawsze żywo interesuje, a choć polowanie nie należy do mojej dzierżawy, o ile mogę strzegę nie mojego dobra. Las tu dosyć rozległy, a co gorsze, rozrzucony, więc nadzór bardzo jest trudny, zwłaszcza że na drzewo i na zwierzynę nie brak amatorów. W samej Teleśnicy jest kilku kłusowników, więcej ich jeszcze dostarczają sąsiednie wsie Solina i Teleśnica oszwarowa. Tam co chłop, to kłusownik, tępią oni zwierzynę nie strzelbą, lecz stempicą, więc milczkiem, co nader utrudnia wyśledzenie. Nie ma straszniejszej dla zwierzyny samołówki jak stempica, żadne bowiem zwierzę, nawet najostrzejszym obdarzone wiatrem, jak lis, wilk niedźwiedź, nie uchyli się od niej, Drewniana stempica nie wydaje żadnej woni, wreszcie starannie pokryta mchem lub suchym liściem, nie łatwo może być dostrzeżoną. Żadne zwierzę z stempicy się nie wydobędzie. Leśny obszaru dworskiego Teleśnicy sannej, Mikoła Pawliszyn, zebrał w przeciągu dwóch lat stempic różnej wielkości sztuk pięćdziesiąt, toż kłusownicy miejscowi i sąsiedni nienawidzą go, bo choć jako miejscowy spokrewnionym jest i pokumanym ze wszystkimi niemal włościanami Teleśnicy sannej, jednak służbę leśnego pełni z bezwzględną ścisłością i sumiennością. Wiem, że głównym celem gal. Towarzystwa łowieckiego jest opieka nad zwierzyną i jej ochrona, ośmielam się przeto polecić owego leśnego do nagrody pieniężnej, czemby inni leśni do gorliwego pełnienia swych obowiązków się zachęcili. Mimo swego ubóstwa opiera się Mikoła Pawliszyn wszelkim pokusom, nasuwanym mu przez kłusowników i złodziei leśnych i prześladuje ich z całą energią. Jestem pewny, że wniosek mój wynagrodzenia prawdziwej zasługi chętnie przyjętym będzie.

M. Laskowski.

„Korespondent Płocki" z dnia 12. Lutego b. r. donosi: Jakkolwiek ogłoszenia tego rodzaju są po większej części zwodnicze, jednakowoż z powodu, że dotyczy choroby, na którą w medycynie nie ma dotąd stanowczych środków, a przeto zostawia szerokie pole doświadczeń, nie od rzeczy będzie docieć prawdziwości środka, o którym donosi dziennik „Agriculture" z bież. roku. Pewien młody wieśniak, pokąsany przez psa wściekłego, a następnie zamknięty w izbie, zjadł wszystkie wiązki czosnku, zawieszone tam do suszenia. Nieszczęśliwy szarpany niewysłowionymi bolami gryzł, co mu pod oko podpadło, ilość też zjedzonego czosnku była bardzo znaczna, ale to go uleczyło zupełnie. Dr. Porto zastosował tę metodę do innych chorych i każdego wybawił od śmierci. Naprzód dobrze ranę wymywa odwarem czosnkowym, następnie wciera w nią jeszcze czosnek utarty, przez ośm dni chory pije tylko napar czosnkowy i zjada naczczo kilkanaście główek czosnku. Czosnek jest bardzo silnym narkotykiem, łatwym do nabycia, warto więc w danym razie zastosować go nietylko dla ludzi, ale i dla zwierząt. Jest to rzeczą pożądaną, aby ten, kto go jako lekarstwo zastosuje czy to u ludzi, czy zwierząt, zagrożonych wścieklizną, raczył szczegółowo o skutkach osiągniętych zawiadomić.

Tegoroczny tok głuszców obfity przyniósł plon. Przysłano z gór do mojej pracowni sztuk 17, z Narola 1. — Hrabiemu Arturowi Potockiemu zawdzięczam, iż wziąłem udział w polowaniu na głuszce na Wołyniu. Tok tam był już na schyłku. Hr. A. Potocki zabił 8, hr. Zamojski 1, ja zaś 2 głuszców. Bliższe szczegóły tej nader ciekawej wycieczki podamy w numerze lipcowym.

W. Z.

Z pod Chyrowa.

Z dawien dawna okolica od Sambora, mianowicie Bylica, Cyszki, Sanoczany, dalej nad górnym Strwiążem Czaple, Fulsztyn, Grodowice, Laszki, Słochynie, leżące na równinach, z mnóstwem oddzielnych małych, tak zwanych przylasków, jest ulubionym przybytkiem słonek w jesieni i na wiosnę. W tym roku, *ut fama fert*, ciągnęły słonki wszędzie skąpo, ale w okolicach wyżej wymienionych było ich, jak zwykle, wiele. Dnia 18. Kwietnia, jadąc do Chyrowa i mając z sobą jak zawsze strzelbę, ubiłem na przestrzeni około dwóch mil cztery słonki, przeciągające wieczorem przez gościniec po nad głową moją. Niktby nie uwierzył, z jaką

zapalczywością samiec słonka ugania za samicą. Między zabitemi 4 słonkami były trzy samce, a wszystkie wabiły chrapiąc w locie. Skoro przemknie samica, wnet po chwili zjawia się samiec, chrapiąc. Pokusa zbyt była nęcąca, iżbym mógł był powstrzymać się od strzału na obcem terytoryum, ale sądzę, że żaden prawdziwy myśliwy nie poszczyciłby się taką wstrzemięźliwością.

Mścisław.

Z pod Złoczowa.

„Starość nie radość“, a jednak na wstyd młodych wygodnisiów, mimo zimnej i dżdżystej pory wyruszyłem na Obertasów, owe uprzywilejowane miejsca ciągu słonek, i przekonałem się, że miejscowość ta górzysta i porośnięta lasem lub krzakami, przez długie jeszcze lata będzie zbornym punktem słonek w tej okolicy. To najdziwniejsza, że ptactwo to, co w ciągu lat długich obserwowałem, jawi się tam najliczniej podczas chłodnych i dżdżystych wiosen. Nie jest to regułą, ale zapewne polanki, ścieżynki lub zręby na południowych stokach gór Obertasowa dają zaciszne schronisko w porze wietrznej. O żer też łatwiej w miejscu zacisznem i słonecznem. Wcześnie na wiosnę, gdy po południowej stronie śnieg stajał, a nawet muszki już grają i czerwone owady kowaliki opuściły swe zimowe leże i grzeją się na słońcu, to po stronie północnej mróz jeszcze trzyma i śnieg leży. Więc młodzi myśliwi gdy w czasie dżdżystej i zimnej wiosny wybierają się na słonecze polowanie, niech ich szukają po stronie południowej, a pewny jestem, że powiedzą: dobrze radził stary

Ćwik.

Szanownych członków Towarzystwo łowieckiego, jak w ogóle myśliwych, upraszamy o nadsyłanie swoich spostrzeżeń i badań, jako cennego zasiłku dla „Łowca“; również prosimy Towarzystwa myśliwskie o sprawozdania z rezultatów swojego działania.

Z Towarzystwa rybackiego. Dowóz ryb. Według urzędowych dat statystycznych dowieziono do Galicyi w roku 1883 rozmaitych ryb 2,861.510 kilogramów, w szczególności: a) śledzi 2,331.761 klgr., z tego z Prus 1,767.033, a z Rossyi 564.728; b) innych ryb solonych z Rossyi 328.908, z Prus 55.825, z Tryestu 2.686, czyli razem 388.419 klgr.; c) przyrządzonych ryb w beczkach 6.113, mianowicie: z Prus 5.965, z Rossyi 142, z Tryestu 6 klgr.; d) ryb świeżych 115.527, w szczególności: z Prus 64.630, z Rossyi 50.897 klgr.; e) ryb w puszkach i flaszkach z Prus 8.581, z Włoch 156, z Rossyi 62, razem 8.799 klgr.; f) ryb w oliwie 10.900, t. j. z Prus 6.286, z Rossyi 2.793, z Tryestu 1.463, z południowych Niemiec 278, z Włoch 77, z Rumunii 3 klgr. Prusy więc dostarczyły najwięcej, bo aż 1,909.320, zaś Rosya 957.530, a inne kraje tylko 4.669, jako to Tryest 4.155, Niemcy południowe 278, Włochy 233 i Rumunia 3 klgr. Na same śledzie przypada 2,331.761, na inne ryby 529.758 klgr. Kupiec p. Wentzel w Krakowie ocenił najniżej przybliżoną wartość tych ryb na: 621.803, 155.369, 2.800, 126.000, 12.600, 22.600, razem 951.170 złr., w rzeczywistości jednak wyniosła ona może do dwa razy tyle. Podobnie wielkie sumy bezpowrotnie wychodzą co roku za granicę z kraju, który posiada 280.445 mórg wód rybnych i mógłby prócz na własny konsum mieć ryb i raków do wywozu za kilka milionów guldenów. Czy to jest gospodarnie?

Dr. M. N.

Fundusz na ikrę łososia wiślanego. Kongres rybacki w Dreznie przyjął za swoje zdanie dra. Nowickiego, że należy poszczególne dorzecza zarybiać własnym łososiem, a więc np. Wisłę wiślanym, i w tym celu starać się o własną ikrę. Ze względu znowu na to, że Wisła jest rzeką międzynarodową i dlatego wspólnym kosztem powinna być zarybianą, następnie że właśnie w wodach jej górnego biegu rodzi się najwięcej łososi, które wędrują do morza i napowrót do swych tarlisk w górskich wodach, Kongres polecił niemieckiemu Towarzystwu rybackiemu, aby celem nabycia ikry łososia wiślanego wypłaciło Krakowskiemu Towarzystwu rybackiemu 400 złr., nadto prosiło arcyksięcia Albrechta o drugie 400 złr., co się też stało. Za otrzymaną już kwotę 800 złr., którą tymczasowo złożono do kasy oszczędności, ma być zakupionych 400.000 zaległej ikry, a wychowany z niej narybek w wodach górnej Wisły rozpuszczony. Tym więc sposobem nastręcza się naszym rybakom sposobność do zarobku i pragniemy, aby się podjęli dostarczenia Towarzystwu rybackiemu z końcem lutego 1885 r. pomienionej ilości dobrej ikry zaległej, tem bardziej, ile że raz wywiązawszy się z tego rzetelnie, mogliby i nadal sprzedawać krocie ikry, a przez to utworzyć sobie źródło dochodów. Nadto zbywaliby korzystnie i same łososie na ikrę użyte, bo c. k. Starostwa zezwalałyby na połów łososi w porze tarła. Dotąd rybak Dorula w Poroninie nie mógł się z braku funduszu zdobyć na znaczniejszą ilość ikry, a Sejm odmówił mu zeszłego roku na wniosek komisyi kultury krajowej subwencyi, o którą na ten cel prosił. Obecnie zaś Wydział krajowy w swej odpowiedzi z d. 21. Marca 1884 na pismo niemieckiego Towarzystwa rybackiego, wniesione na ręce Marszałka krajowego, oświadczył gotowość poparcia w Sejmie krajowym ewentualnej petycyi galicyjskiego Towarzystwa rybackiego, o udzielenie zapomogi na ten cel z funduszu krajowego. Jest więc nadzieja pomnożenia owych 800 złr. na ikrę, byle tylko rybacy chcieli takowej w swoim czasie dostarczyć, a poprzednio do Towarzystwa rybackiego zgłosić się; w przeciwnym razie nie byłoby podstawy do wniesienia petycyi do Sejmu, a i owe 800 złr. zwróciłoby się wspaniałomyślnym dawcom.

Dr. M. N.

Regulacya rzek pociąga za sobą częściowe lub zupełne odcięcie kolan, starych rzeczysk (ochabów) i odnóg do koryta, i czyni tem ujmę rybactwu, gdyż właśnie takie zaciszne wody służą rybom nietylko za bezpieczne chroniska podczas powodzi, kry i spławiania drzewa, lecz także za główne tarliska, zwłaszcza gatunkom podlejszych ryb karpiowatych, które stanowią pokarm cenniejszych ryb drapieżnych. Dlatego wymaga interes rybactwa, aby przy regulacyi rzek zostawiono między korytem a odciętemi od niego wodami dla przeciągu ryb odpowiednie przepusty, t. j. ażeby tarlaki mogły swobodnie wchodzić do tych wód na tarło, a potem narybek wychodzić do rzeki. Jakoż w uznaniu tego Ministeryum rolnictwa w porozumieniu z Ministeryum spraw wewnętrznych rozporządziło pod d. 19. Lutego 1884, aby nadal takie przepusty miano na względzie zaraz przy projektowaniu budowli regulacyjnych, zaś przy korekcyach już przedsięwziętych o tyle uwzględniać, o ile dadzą się wykonać; w razach wątpliwych, jak przepust urządzić, mają zawczasu interesowani, względnie także rzeczoznawcy, być do narady przybrani. — Niechże uprawnieni do rybołowstwa mają na pamięci to rozporządzenie i dbają o swój interes.

Dr. M. N.

Przypominamy sz. członkom Towarzystwa łowieckiego, iż wkładkę roczną należy złożyć najpóźniej z końcem Marca. Pewni, iż tylko zapomnienie jest powodem zwłoki w uiszczeniu wkładki, podamy w lipcowym numerze nazwiska renitentów.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.